

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 10 SIERPNI 1929 ROKU

NR. 32

TREŚĆ NUMERU: Współczesna kobieta i współczesny mężczyzna — *Z. Zaleska*. Ankieta o czystości na wsi — *M. H. Szpyrkówna*. Zawalidroga (d. c.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Sztuka pisania listów miłosnych (c. d.) — *S. Borowska*. Niebieski gość — *Stefanja Podhorska-Okotów*. Listy z nad Gangi — *Kamilini Shrinagamir*. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Placówki gospodarcze dla kobiet — *M. Karczewska*. Jak odpoczywać w mieście — *J. P.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Pantofelki i pończoszki — *Well*. Dodatek: „Kultura Ciała“. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

WSPÓŁCZESNA KOBIETA I WSPÓŁCZESNY MĘŻCZYZNA

„O tych sprawach nie chcę myśleć, ani mówić, ani pisać umiarkowanie. Nie! Nie!

Powiedz człowiekowi, którego dom się pali, aby alarmował z umiarkowaniem; powiedz mu, by z umiarkowaniem wyrwał swą żonę z rąk napastnika; powiedz matce, by powoli wyciągała swoje dziecko z ognia, w który wpadło — lecz nie ucz mnie umiarkowania w sprawie tak palącej, jak ta. Jestem wzburzony — nie chcę mówić dwuznacznie — nie chcę być wyrozumiałym, nie chcę ustąpić, ani o cal — i nie chcę być wam posłusznym.

Obojętność ludzi jest tak wielka, że dopuszcza do ucieczki każdego bóstwa z piedestału i powoduje wskrzeszanie pogrzebanych“.

Słowa te pisał William Lloyd Garrison, gdy rozpoczynał swą walkę o sprawiedliwość w Ameryce. Te same słowa cisną się pod pióro, gdy mówimy o sprawie, która zatoczyła już kręgi na cały świat, powoduje do pracy nad próbami jej rozwiązania filozofów, pedagogów i prawników w Stanach Zjednoczonych, we Francji i w Niemczech, wywołała w swej dziedzinie wyraźny program Mussoliniego, zajmuje myśl setek tysięcy w Bolszewji i echem gorącym dochodzi nas z Egiptu, Japonji i Chin nawet. Jest to sprawa, łącząca się z zagadnieniem czystości rasy i z poziomem kultury narodów, wchodząca bezpośrednio w świat pedagogji i w dziedzinę psychologii, a jednocześnie stanowiąca sama w sobie cały olbrzymi świat, najgłębiej tkwiący w sercu człowieka i kładący swe piętno na całym jego życiu. Jest to — słowem — zagadnienie miłości i małżeństwa, rodziny i serca ludzkiego.

Kiedy przeglądam dział „Między nami“ w „Ko-

biecie w Świecie i w Domu“, kiedy przerzucam karty książek Karin Michaelis, czy wielkie plachty dzienników amerykańskich, czy memoriał egipskiej rady narodowej kobiet, czy T-wa eugenicznego lub Komitetu walki z handlem żywym towarem — wszędzie widzę to jedno wielkie zagadnienie, od tysięcy lat drzemiące i zagłuszane wszelkimi sposobami, a mimo to wiecznie żywe i wiecznie jednakowe. Od tysięcy lat głowią się nad nim filozofowie i reformatorzy, rzucają projekty rozwiązania go utopiści, od Platona poczynając, i przez 20 wieków rozlegają się już głębokie, pełne zrozumienia natury ludzkiej, słowa Kościoła, nakładające jej więzy, z którymi wielu jednostkom jest źle, lecz bez których jest jeszcze gorzej.

Jak to pisze „Komsomolskaja Prawda“ — organ zrzeszenia ludzi, którzy te więzy wyrzucili precz poza nawias życia i na ich miejsce postawili pełną, niczem nie krępowaną wolność:

„Codziennie w stolicach i w dalekich stronach kraju, w zapadłych wioskach i osadach fabrycznych setki dziewcząt giną w płomieniach ognia „męskiej filozofji“. Złamała je uparta, zwierzęca logika chamskiego stosunku do kobiety. Kobieta stała się w pojęciu tych mężczyzn istotą bez duszy, przedmiotem, który po użyciu można wyrzucić z drogi swego życia, można puścić w niepamięć, tak, jak w niepamięć puszcza się różne „słodkie anegdotki“.

Być może, że — jak na to uskarżają się w swych listach do redakcji wzmiankowanego pisma młode komunistki — wielu ludzi powie i u nas, że są to drobnostki, nad którymi nie warto się dłużej zastanawiać — ale te „drobnostki“ łamią życie zbyt wielu kobiet, by można było przechodzić nad nimi do porządku dziennego.

Dla myśliwego drobnostką jest zabicie, ale dla stworzenia, które on zabija lub rani, jest to kwestja życia. A to, co pisze „Komsomolskaja Prawda“ — może być bez zmiany zautoryzowane przez organy innych krajów w mniejszym lub tymsamym stopniu.

Rosyjscy przedwojenni socjal-demokraci chcieli — jak wielu teraz ich następców — odebrać miłości erotycznej jej znaczenie w życiu ludzkim: jest to dążenie — ni mniej, ni więcej — tylko do przetworzenia człowieka i nie uda się go dokonać. Możemy raczej tylko zastanawiać się, w jaki sposób ująć ją w ramy, przynoszące najmniejsze zło najmniejszej ilości ludzi. I tu czasy dzisiejsze, przełomowe — czasy, w których kobieta, dotąd różnemi hasłami, prawami i obyczajami zmuszana do brania na siebie wszystkich ujemnych stron tego zagadnienia — zbuntowała się i nie chce być nadal „zrezygnowaną“, „zrozpaczoną“, „opuszczoną“ i t. d. i t. p. — te czasy dają jednak wiele ciekawych wskazówek.

Więc naprzykład, skarżą się dotychczasowi „panowie stworzenia“, że oni to są teraz opuszczani, zdradzani i wydrwiwani, że mają do czynienia z „nowoczesną kobietą“, a tej — nie chcą.

Jakież są te „nowe“ kobiety? Naogół biorąc, widzimy wciąż 3 główne typy: kobiety „pur sang“, kobiety „stuprocentowe“ i „chłopczyce“ (używam określeń mych łaskawych kolegów).

Pierwsze są słodkie, ciche, pokornie poddające się męskiemu przewodnictwu i autorytetowi; pociągają „urokiem kobiecości“, ale... są zdradzane z temi „stuprocentowemi“, które oszołamiają zmysłowością i agresywnością. Drugie są... również zdradzane dla „zmiany wrażeń“, dla „odpoczynku“, a trzecie — trzecie są najczęściej nienawidzone całą obrażoną przez nie ambicją męską. Dlaczego? Dlatego, że nie imponuje im lada dyplom uniwersytecki, bo go same mają w kieszeni: dlatego, że nie uciekają się do „męskiej opieki“, bo wygimnastykowane mięśnie pozwalają im samym przepędzić natrętnych ulicznych i nie ulicznych donżuanów, a pracowitość i sumienność — zdobyć samym środki utrzymania; dlatego wreszcie, że... znajdują się na farbowanych lisach i nie godzą się na żadne „rezygnacje“, tylko żądają równego miejsca pod słońcem.

Zarzuca mi niewątpliwie Czytelniczki, że mięszam (rzekomo) pojęcia, że „chłopczyca“ — to jest taka „półdziewica“, co to włosy obcięła, pali papierosy, gwiżdże, rozprawia głośno o sportach i wolnej miłości i nie robi sobie skrupułów z „odbiciem“ męża, czy narzeczonego „prawdziwej kobiecie“, w przerwie pomiędzy jedną, a drugą eskapadą dancingowo-restauracyjną. Otóż — nie. Obecnie (zauważcie tylko) mianem tem chrzci się każdą niezależną kobietę, choćby nosiła długie włosy, była pełną uroku i miała dobrze przez siebie wychowane dzieci. Chodzi tu tylko o tę niezależność — nieza-

leżność myśli, niezależność materjalną i niezależność... uczuciową.

Dotychczas wyznawali to hasło tylko mężczyźni i — może dlatego — są obecnie tak, powiedzmy, zaskoczeni, że na niem opierać się zaczynają i kobiety. „Dobra żona“ w ich pojęciu powinna darzyć ich zawsze jednakową miłością bez względu, czy na to zasługują, czy nie. To — jak szlafrok, wygodny, przytulny, po który sięga się automatycznie, gdy się jest zmęczonym (wszystko jedno, czem). Mówiąc ładniej, żona powinna być i gospodynią, i kochanką, i matką, słowem — wiernem odbiciem wszystkich pragnień na daną chwilę. Ale co jej się za to daje? Och, nad tem się nie warto zastanawiać. A kiedy zaczęła się zastanawiać kobieta, no — to już świat się kończy: — przestała być „kobietą“.

Jednak — o ile daje na to odpowiedź historia obyczajów — zastanawiała się ona i dawniej i to zastanawiała tak poważnie, że żądała od swego przyszłego czynów, świadczących o jego wartości. Bohaterowi wybaczala wszystko, ale tchórzowi posyłała zajęczą skórkę. Kochała się w grubym, brzydkim Balzaku, rzucała się na szyję 80-letniemu Lisztowi, zaślubiała inwalidę bez nóg lub bez oczu, który tą ceną płacił wolność Belgji, dochowywała wierności skazanemu na katorgę powstańcowi polskiemu. Jeśli zaślubiała człowieka, który jej imponował, cierpiała nad jego niewiernością, lecz nie przestawała go kochać.

Dziś? Czemże dziś imponują nasi mężczyźni? Jaki ekwiwalent równoważny dają za swoje zdrady? Bo co tu owijać w bawełnę: na dnie każdej tragedji, każdego „rozbicia“ rodziny, leży niewierność mniejsza, czy większa.

Lindbergh mógł wybierać w najpiękniejszych kobietach Ameryki. Idealne żony mieli Amundsen i Nansen. Nie będziemy mówić o żonach naszych prawdziwie wielkich polaków przedostatniej doby — żyją jeszcze. Wyjątkiem jest żona wielkiego artysty, literata, odkrywcy, uczonego czy żołnierza, któraby nie przebaczyła mu wszelkich przewin, dlatego tylko, że kochała jego wielkość duszy, objawiającą się w ten, czy inny sposób.

Otóż chodzi właśnie o tę wielkość, o miarę duszy. Tu leży sedno rzeczy. Nasze czasy dziwnie skarłały mają pokolenie: wszystko małe, słabiutkie, marniutkie; dobroć połączyła się z tchórzliwością i „świętym spokojem“, ludzie nie wiedzą, poco żyją i czego chcą. Zginął gdzieś człowiek, zeszedł do podziemi i tam wykuwa swój typ, a na powierzchni widoczny pozostał tylko — człowieczek.

I ten rządzi światem. Ten narzuca swoją wolę i dusi zazdrośnie wszystko, co przerasta jego poziom. Dusi podstępem, fałszem, intrygą, bo na otwartą walkę go nie stać. Bierze sobie do pomocy wszystkie wyświechtane frazesy i mąci w głowach do absurdu. Operuje „szczytnem powołaniem kobiety“

i jednocześnie spycha ją nogami w przepaść hańby; ogłasza „deklarację praw dziecka“ i zrzuca na matkę obowiązek wychowania swej nieślubnej córki, czy syna; pojedynkuje się o obrazę swego „honoru“ i zabawia się zakładem, że każdą spotkaną na drodze kobietę przewróci (fakt autentyczny na ul. Marszałkowskiej w Warszawie, zresztą ogłoszony w gazetach). I tak dalej.

Jedna z młodych pionierek „współczesnej kobiecości“, nadmieniając o trudnościach i przeszkodach, stawianych na drodze rozwoju „ruchu kobiecego“, powiedziała przed dwoma laty na Kongresie sportowym kobiecym w Warszawie: „Współczesna kobieta potrzebuje współczesnego mężczyzny“. Tak jest. Współczesna kobieta powinna stawiać wymagania wysokie nie tylko sobie, lecz i temu, który ma zostać ojcem jej dzieci. Żadnych ustępstw jednostronnych, żadnej „rezygnacji“ z linii moralnej. Dobroć — tak; współpraca nad wyrabianiem charakterów — tak; czujna — ale oceniana — pomoc w dążeniu do wydobycia na wierzch najlepszych stron, rozkwitu umysłu, czy spotęgowania talentu — tak; ale na równych prawach, bez łamania róży, by mogła zakwitnąć pokrzywa.

I to nazywa się właśnie brakiem kobiecości.

Bez takiego zaś zapytania siebie: Czy warto? — „codziennie w stolicach i w dalekich stronach kraju, w zapadłych wioskach i osadach fabrycznych setki dziewcząt łamią się pod upartą zwierzęcą logiką chamskiego stosunku do kobiety“. Stosunku, który wynika bezpośrednio z naszej winy w tym znaczeniu, że całe społeczeństwa zarażone są lekceważeniem kobiet. „Nikt nie szanuje tych, którzy sami siebie szanować nie umieją“.

„Nieprawdą jest, że życie, za każdą cenę, jest lepsze, niż śmierć. Wyższe od prawa życia jest prawo godności tego życia, jego głębszego celu, przyswiecającego mu ideału“.

Nie wolno zasłaniać się żadnymi frazesami, nie wolno tchórzyc przed odpowiedzialnością: człowiek stanowi część swego społeczeństwa — czy chce, czy nie chce, dźwiga w swej psychice wszystkie cechy, które wszystkie zmarłe pokolenia jego przodków wytwarzały swym życiem, przekazuje je następnemu pokoleniu z dodaniem tych, które sam w sobie wytworzył. Jest pod tym względem bezwolnym narzędziem: czy chce, czy nie chce, ponosi odpowiedzialność nie tylko za siebie, lecz za wszystkich, na których oddziaływa, zarówno jak za tych, którym życie daje.

I dlatego, dlatego właśnie, że człowiek nie jest przemijającą iskrą w wieczności: musi stawiać sobie jaknajwyższe wymagania, musi zwalić z piedestału fałszywe bogi obłudy, podwójnej moralności i rezygnacji w godzeniu się ze swojemi i cudzemi wadami i błędami. Niema wyrozumiałości, jeśli nie jest ona spowodowana prawdziwą skruchą. Niema pobłażania, jeśli ono pociąga za sobą tylko dalsze cofanie się człowieka w jego rozwoju moralnym.

„Nie chcę być wyrozumiałym, nie chcę ustąpić ani o cal“ — nie mówcie mi, że brak wam sił, że cierpienie zabija wam jasność sądu i popycha do obniżenia wymagań, że fizjologja wymaga innego traktowania życia mężczyzn i życia kobiet. Wszystko to kłamstwo, wymyślone przez niedołęgów dla własnej obrony w opinii swojej i cudzej. Kłamstwo, które zwali nowe pokolenie — to, które już idzie.

Z. Zaleska



M. H. SZPYRKÓWNA

ANKIETA O CZYSTOŚCI NA WSI

W swoim czasie ogłosiłam w „Bluszczu“ artykuł z prośbą o nadesłanie zdań czytelniczek w sprawie niechlujstwa na wsi. Czy uważają, że słusznym jest zajęcie się już nareszcie i tym niemiłym problemem, tą zaiste „brudną“ sprawą, czy też może jest to pesymizm z mojej strony i przesada? I twierdzenie owego optymisty, że Polska bynajmniej nie jest niechlujna, bo zużywa ileś tam więcej wody na głowę, niż jeden z krajów sąsiednich; czy jest tylko zrozumiałem zresztą pragnieniem uchronić własne

społeczeństwo od tak mało pochlebnego osądu, nawet kosztem pewnej trzeźwej bezstronności, czy też — poprostu błędem, na który trzeba koniecznie otworzyć wreszcie oczy sobie i swoim?

Nie miałam zdania, by tak rzec, murowanego w tej sprawie przed ogłoszeniem w „Bluszczu“ owego artykułu. Dziś — mam. Utwierdziłam się, niestety, w pierwotnych moich spostrzeżeniach — mianowicie: że wieś nasza jest niedopuszczalnie i upokarzająco niechlujna — dzięki odpowiedziom, jakie na-

deszły. Mogę śmiało powiedzieć, że nadeszły ze wszystkich stron (z wyjątkiem Poznańskiego, które też w poniższych rozważaniach, w braku materiału, pomijam) — i brzmia mniejwięcej — i to najgorzej!... — jednolicie. Boże, i kiedyż będziemy na poziomie fińskiego robotnika i północnego chłopca! I kiedyż takie ankiety będą już zbyteczne, zabawne, przebrzmiałe!

Dziś — nie są. Dziś mamy obowiązek jeszcze gromadzić materiały i zbierać fakty, chociażby dlatego, aby przedstawić je władzom, pieniądź społeczny w rękę dzierżącym. Pieniądź ten jest tak mały, tak malutki, tak ginący w olbrzymiej paszczy rekina, który się zowie: potrzeba — że same władze muszą mieć na jego wydanie grube uzasadnienie. Dlatego jest dobrze te uzasadnienia gromadzić! P. min. Składkowski ma już wiekopomne niejako w dziejach naszej przyzwoitościowej i cywilizacyjnej naprawy zasługi. Chciałabym, aby dotarło do niego i to drugie, konieczne poczynanie: łaźnia na wsi — obowiązująca, darmowa, dla każdego dostępna, a przez ogół opłacana łaźnia na wsi, brudnej, jak święta ziemia, ale zgoła inaczej, niż ziemia, pachnącej! I słusznie potwierdza jedna z korespondentek ankiety, że istotnie, na głowę mieszkańca Polski, z powodu braku mieszkań, wypada więcej wody... deszczowej, niż w każdym innym kraju na jego obywatela, ale na nogi... nie!...

Przyjrzyjmy się poszczególnym dzielnicom kraju. Oto list z Polesia. Wiemy zgóry, że wszelkie niedobory tu są najmożliwsze i najłatwiejsze do wyrozumienia: taki daleki, zapomniany od Boga i ludzi cywilizacji bliskich, kraj!

Przytaczam naturalnie tylko wyjątki. Ale żałuję, że nie mogę z kilku nawet zresztą względów przedrukować tych naprawdę niezastąpionych dokumentów, jakimi są te listy nauczycielek ludowych, ochroniarek, doktorek, gospodyń bardziej uświadomionych i wreszcie obywaterek ziemskich, mających ze wsią bliski i odarty skutkiem tego z obsłonek optymizmu, kontakt!... Ile cennych wskazówek i poglądów zawierają te listy! Można im postawić jeden zarzut: że ilościowo — nie jest ich tyle, ileby być powinno. Te, które są — są doskonałe. Ale te, których niema... są pouczające! Podobno kiedyś robiono próby statystyczne: rzucono siedem zaadresowanych i opatrzonych znaczkami listów w Danji, o ile pamiętam, i tyleż w Rosji. Z Danji nadeszło siedem listów, z Rosji — jeden. Wołałabym, żeby jednak tymczasem nie robiono statystycznych prób nad Polską! Nie lubiłabym fałszować wyników nawet dla swego kraju, a sądzę, że... tymczasem drukowane i pisane służy u nas głównie do użytku gospodarskiego. Kiedyż napisanie listu nie będzie dla nas bohaterstwem i obrządkiem, nawet jeśli nie idzie o własną sprawę pierwszej wagi, jak porada kosmetyczna lub powin-

szowanie imienin, ale i w sprawie tak odległej, jak... kwestja społeczna tego czy innego kalibru!...

Tem bardziej jednak cenne są te listy, które istotnie nadeszły z materiałem, świadczącym o pracy, chociażby z powodu napisania kilku arkuszy kancelaryjnego formatu, co, bądź co bądź, już poza wysiłkiem umysłowym, jest pewnym wkładem społecznym przez sam poświęcony czas.

Wracamy zatem do Polesia.

.... Czy się myją? Oczywiście! Ale jak i gdzie? To inna sprawa. Przeważnie, można rzec: powszechnie: wodą z kubka, bo miednica do mycia — to triumfalny unikat. Kubek jest zaś rzeczą niezbędną, więc jest i tak. Co myją? To zależy od kalendarza. Na codzień — policzki i przód twarzy (uszy — nie!...) — no i siłą faktu, ręce. Od święta — myje się szyję i nieco odchyła koszuli, albo się ją w razach wyjątkowych zupełnie zmienia na czystą. Prawa takiego jednakże w obyczaju (jak np. u Rosjan dawniej) niema. A w wielkie święta doroczne, dosłownie zaś raz w rok około Wielkiejnocy — zrzuca się ubranie i myje się do połowy. Co się dzieje z drugą połową?... Trudno zgadnąć, a raczej... łatwo. Naogół, zima gromadzi swobodnie pokłady potu, brudu i tłuszczu, który tworzy z ubraniem i ciałem pewną całość dosłownie organiczną, bo zaludnioną rozmaitemi organizmami. Latem młodzi zmyją je w rzece, o ile jest (na szczęście, przeważnie jest) — a starzy zasuszą w słońcu. Nogi tylko w lecie dostępują kontaktu z wodą, dzięki deszczom i rosie. Czasem, gdy od niechlujstwa zaczynają pękać i krwawić, nauczycielka, czy felczerka, zapytane o radę, każą myć. Ale to — wyjątek. Tak oto u nas jest! W brudnych chatkach — brudne dzieci na podłodze, zaśmieconej przez drób i mniejszy przychówek gospodarski — a poza tym brudni mężczyźni i brudne kobiety. Rzadko, w drodze wyjątku, zdarzają się rodziny czy typy, uznające względną czystość! I jak to zmienić? Jak zażyć takiego nieufnego na wszystko, zgóry idące. poleszuka czy białorusina, aby uwierzył, że czystość, to nie jest pańska fanaberja, lecz prymitywna konieczność życia, do której już dawno doszedł jego zachodni brat?..."

Tyle — stamtąd. A teraz przerzucimy się na inny koniec kraju, zdawałoby się bliższy świata! Oto list drugi w wyjątkach. Śląsk!

Z opisu wynikają.. zupełnie te same cechy: mycie z kubka na ręce lub z ust na ręce; od święta — w misce i od Wielkiejnocy — do połowy: reszty dokonywa lato i kąpiel. Dalej:

.... Spotkałam na wieś jeden do trzech domów, gdzie do mycia jest osobna misa; pozatem posługują się tą, której używają również do jedzenia. Wodę się czerpie do obmycia rąk i twarzy nieraz z szaflika do zmywania naczyń. Największą pokutą dla mężczyzn i nawet dla dziewcząt jest mycie nóg; w lecie wszystko to odmieka, w zimie — zasycha. Nie czeszą

się też częściej, niż raz na tydzień, do kościoła. Nie dziwnego, że w głowie i ubraniu lęgnie się coniemniara pasożytów. Niedziela jest w części przeznaczona na ich wytepienie, co nie napawa nikogo zbyt- niem skrepowaniem, gdyż odbywa się przeważnie przed progiem domostwa: matki „iskają“ dzieci, a czasem — naodwrot. Zanieczyszczenie głów, ubrań i izb parazytami jest straszne. Izbę zamiata się po-środku, a myje się wyjątkowo — chyba, że wielkie święto, czy też ksiądz przychodzi do chorego lub po kolędzie. Okna na zimę są zabite od chłodu, a na lato — zamykane od much: zaledwie postępowi trzymają je otworem. W izbie często siedzą na ja-jach kokosze i gęsi oraz chowa się drób, którego nie dają do chlewu z obawy, aby go nie zagryzły szczury. Je się niechlujnie. Kobiety gotują w brudnych garnkach, brudnymi rękoma, wprost nieraz od gno-ju. Trudnoby wymieniać, ale łatwo zgadnąć, do ja-kich potrzeb używa się nieraz szaflika od zmywa-nia naczyń, zwłaszcza dopóki dzieci są małe!

A przed domami? Dopiero ostatnio, skutkiem zarządzeń p. ministra Składkowskiego, chłopci z bó-lem serca musieli zrezygnować z ukochanej gnojów-ki przed progiem. Ale do innych powszechnie wiado-myh wymysłów cywilizacji nie dają się jeszcze nakłonić: a trudno powiedzieć, jak ohydzą wieś na-szą i miasteczka te sielskie obyczaje naszych chłó-pów! Zarazy są nagminne i nieustającym zjawis-kiem. Zwłaszcza dzieci mrą. Chłop przyjmuje to fi-lozoficznie. „Mrą dzieci po innych parafjach, to i moje umarło“. Niedorozwój fizyczny starszej lud-ności także grozi skarleniem rasy. A przecież, nie wszędzie jest tak! A przecież tam, gdzie się ustaliła zamożność, tam i czystość i ład powoli wkraczają w prawa! Znam pod Sandomierzem bogatą wieś, gdzie są i gminni lekarze, i bezpłatny nadzór sani-tarny, i kontrola higienicznego budownictwa, i dba-łość, aby policja istotnie ściągała kary za przekrocze-nie przepisów. Chłop klnie kary, ale ze strachu przestrzega praw — i skutek uderza w zestawieniu z niechlujstwem gdzieindziej. Dobrobytu i oświaty! Oto są pierwsze nasze wymogi! Wtedy muszą zni-knąć rażące i upokarzające zjawiska niekultural-ności i niechlujstwa, jakich pełna jest dotąd nasza polska wieś i miasteczka. Brak przykładu jest także

znakomitą przeszkodą. Przecież jednak dzieci w szkole i żołnierzy w wojsku świetnie można przy-uczyć do porządku? Tylko potem powoli środowisko zaciera te różnice. Trzeba podnieść poziom ogólny — a to tylko z oświatą i dobrobytem przyjść może!...

Tyle. A teraz: Małopolska. Idem, idem! A je-szcze inne uwagi:

Rusin stanowczo jest chyba jeszcze brudniejszy od Mazura. Chelpi się sam, że go od urodzenia woda nie tykała. Choroby takie, jak tyfus, rozpowszech-niane przez pasożyty, nie kończą się prawie nigdy. W ciągu ośmiu lat mego tu pobytu przeszliśmy czte-ry epidemie tyfusu plamistego! Rząd przysyła ko-lumny sanitarne, które walczą energicznie — ale któż na domowe niechlujstwo poradzi! Koty, psy i drób zanieczyszczają podłogę, którą się zamiata, kurz pada na jedzenie. Zwrócić uwagę — oburzenie i sceptycyzm. Tak ojce żyli i my tak przeżyjemy! Jak zaradzić?... Chyba nakładać kary za niechluj-stwo, grzywnę, którejby się chłop bał!... Ale czy gdzieindziej jest lepiej?... O ile sama zaobserwować mogłam — to po całym kraju na wsi panuje straszli-we niechlujstwo! A cóż mówić, skoro i po dworach nie wszędzie jeszcze zdołano wprowadzić łazienki, wobec ciężkich inwestycji gospodarskich, jakie wciąż wołają o pośpiech — i oto powoli wrastamy w brud!...

Narazie poprzestaję na tem. Zbyt jaskrawe obrazy, abym potrzebowała kondensować barwy! Mówią same za siebie. Widocznie jednak ankieta na ten temat nie jest taka zbędna! Musimy spojrzeć, bo-daj pod przymusem mając oczy otwarte, w to steko-wisko, które... trzeba oczyścić. Bo przecież, na miły Bóg!... — trzeba! Bo przecież, na miły Bóg! czas już, aby nie separowano naszych emigrantów od innych narodowości, bo... są zarazą i obrzydzeniem dla in-nych! Mamy dziś ministra, który zeszedł z piedesta-łu biurokratycznego i wejrzał, wbrew głupocie sza-blonu i jego popleczników, w same zwykłe, codzien-ne, wstydliwie dotąd pomijane konieczności kultural-no-schludnościowe: rzecz, którą w naszych nieame-rykańskich stosunkach trzeba by wpisać złotymi li-terami w dziejach biurokracji! Trzeba ten czas wy-zyskać: trzeba wołać! A może przecież będzie to wy-słuchane?



HERMINJA NAGLEROWA

14)

ZAWALIDROGA

(powieść)

Obojętne słowa mogły przerazić okrucieństwem, ale tak właśnie rozplynęły się w powietrzu, że nie było po nich śladu. I Franek, już najeżony protestem, zamilkł. Wielka, nieludzka mądrość, wszystkich popólnie krzywdząca, zapierała dech. Bezprawie życia pleniło się na tej ziemi rudawej, burej, liljowej, rozplecionej szeroko, zbrudzonej w rzędy. Do gardła podchodziło zachwytem i niemocą! Nic przecież nie wiem, pewnie on lepiej to odemnie rozumie. Jest przecież doświadczony i mądry! — Ale jednocześnie można już było wiedzieć, że niełatwo będzie zwyciężyć w tej walce z nieczułością ojca, z jego niedostępną mądrością. Jakże go przekona własną bezsilą? Jakże mu wydrze to wszystko, co jest jego prawem — prawem syna?

— Buraki są — pierwsza klasa! Nikt tu w okolicy takich nie ma.

Franek patrzył już niechętnie na liście, na grudeczki spulchnionej ziemi. POCO się cieszyć radością ojca? POCO się cieszyć tą obcą, niezyczliwą radością?

XV.

I tak szły właściwie na marne te wszystkie samna-sam z ojcem. Najważniejsza sprawa, do której się zdążyło wielorakimi drogami i do której ostatecznie prowadziły wszystkie drogi, okazywała się istic iatamorganiczną igraszką. Niewątpliwie poznał się już ojciec na chytrności syna i niby nieznacznie usiłował go obłaskawić. Trochę przygarniał do siebie, trochę i w sam czas osadzał, wyznaczając potrzebny dystans. Nie miał przecież ochoty do tłumaczenia się i wyjaśnień.

Tymczasem wyczerpały się już wszystkie sposoby Franka. Cóż począć, co począć, gdy żadne sidła nie zdołały pochwytać ojca? Z czasem płynęło już w żyłach znużenie, jak struga gęstej wody.

Wtedy właśnie nadszedł list od matki, dopytujący się zapobiegliwie o jakieś śmieszne drobiazgi, a jednocześnie żądający „wszystkich szczegółów“. Tak się tam rozciekawiała do kalinieckich spraw, tak chciała wiedzieć, co się tu dzieje! Można było na podstawie tego listu obliczyć porażki swoich nieudolnych zabiegów, ale można też było do reszty obrzydzić sobie całą tę grę. Bo matka oczekiwała od niego jakichś donosów, na coś jej były potrzebne te wiadomości. Wcale mu to nie było w smak, bo, doprawdy, nie miał powodu działać na czyjąkolwiek korzyść. Nie umiałby nawet wybrać, czyim z tych dwojga powinien być stronnikiem? Jeżeli się tu szarpie, jeżeli chytrze szpieguje — to czyni to tylko dla

siebie, ale i tak już kapitulował, i nawet dla siebie niczego już nie dochodził.

Bo naprzekór listowi matki, naprzekór niedoścignętemu rozumowi ojca, odwrócił się od swoich żalonych klęsk ku innym, może najbardziej własnym sprawom. Klima wysłuchiwała jego wierszy czerwonymi uszami. Jakiś czołobitny werset ułożył się wprawdzie niezręcznie, ale wbił Franka w dumę i napełnił rzewną przyjaźnią dla Klimy.

Odrązu nastąpiło zubożenie dla jakichkolwiek gospodarskich czynności i Franek, zacadzony zielonym cieniem pokoju, pisał teraz wiersze, zjeżdżając ramieniem po pochyłości stołu.

Niejedną godzinę kradł Iwaś, łasy rozmów i papierosów. Były to dyskursy na „wy“, ogromnie koleżeńskie, lecz zawsze bardzo zasadnicze i nieosobiste. Zanikło jakby wzburzenie Iwasiewego serca, zdania szły już miarowo, jak ciężkie woły w zaprzęgu. I tak łatwiej było mówić o tych sprawach, które ryły się głęboką bruzdą na płaskim czole Iwasia.

— Mówicie, że to nie jest potrzebne, że was nie obchodzi polityka. Pewnie, bo należycie do panujących. Ale jabym wam wskazał te krzywdy, niechbyście poznali, co i jak! Niczego was, polaków, nie nauczyło wasze własne nieszczęście. Chyba tylko tyle, że używacie tych samych metod, co wasi dawni ciemiężyciele!

Franek usiłował jakoś uspokoić Iwasia, i tak rozprawiając, zawierali ostatecznie sojusz, ściskali sobie mocno ręce, bo przecież, tak czy owak, najbliższa przyszłość musi rozstrzygnąć po sprawiedliwości. Franek rad był, że można już było odejść od zbyt trudnych i obcych mu tematów i pytał o to, co go w tej chwili więcej interesowało.

-- A czy macie dobrych poetów?

Iwaś poznał mu więc książki, odczytywał wiersze i wpadał w szczególny patos, deklamując „Mojseja“ Iwana Franki. Doszukiwał się w poemacie aluzji politycznych, jakichś wieszczych, jak płomień czerwonych, zapowiedzi. Stawało się ciężko od dymu papierosów, choć przez otwarte okno szedł z sadu zielony wiatr. Aż trzeba było wreszcie uwierzyć w ważność zagadnień i zastanowić się nad tem po swojemu. Więc — krzywda, tysiące krzywd! Mieszczą się jedna w drugiej, jak w tej zabawce: w jednym pudełku — drugie, w drugim — trzecie, w trzecim — czwarte, a dopiero to ostatnie, które się już nie otwiera, niepokoi niepoznaniem. I tak napewno nazawsze nierozpoznana jest ta najgłębiej ukryta — krzywda.

Po tych ciężkich rozmowach z Iwasiem, uciekał

Franek do Klimy. Pod wieczór, gdy opadły kurze na drogach, a szafirowy atlas nieba stroił się już w brylant Wenery, gdy księżyc, omijając wszystkie chmury, nisko pochylał twarz ku skoszonym łąkom — Franek i Klima odbywali dalekie spacer. Gorączką spalone usta powierzały chłodnym nocy dziwaczność do niczego nie przystosowaną żarliwość wywnętrzeń. Noc daremnie wysilała się na słodycz szmerów i bujność zapachów. Zlewało się srebro z czernią, granat z zielenią, a oni szli pobokiem drogi i niespokojnym trzepotem rąk burzyli ład nocy.

Dopiero, gdy się żegnali na ganku szkoły, zdobywali się na proste słowa: Dobranoc! Do widzenia! — Ręce ich były wilgotne, a przyjacielskie serca wypowiedane z wszelkich wzniosłości. Klima stała jeszcze długo pod stulonemi kieliszkami powoju. Widać stąd było rozświetlone okna dworu. Dwa, trzy okna, wycięte czerwonawym światłem w ciemności nocy. I choć tak rozgrzana rozmowną młodością Franka, odrazu ziębła, świadoma odmiennych, lecz bardziej rzeczywistych spraw życia.

Franek szedł przez długą ulicę wsi, wrzący poezją. Trzeba było jaknajprędzej wrócić do swojego pokoju i pisać. Bo wszystko, co tak niedawno jeszcze było tu gniewem, upokorzeniem, pożądaniem, uszło już na martwe badyle. Tak łatwo było podeptać je teraz mocnym, śpieszącym się krokiem i być już nareszcie czemś dla siebie samego.

— Klima — myślał — Klima to rozumie i uznaje.

I tylko trochę smuciło, że taka to właśnie jest jego — Beatrycze. Choć, doprawdy, najważniejsze jest to, że ktoś słucha z nabożeństwem, że jakiś głos szumi pochwałą.

Furtką, wciśniętą między krzaki porzeczkowe, wszedł Franek do sadu. Spłoszyły się jakieś ptaki w lekkim szeleście gałęzi. Franek pomyślał jeszcze, że właściwie nikt nie wie o jego szczęściu, ani Klima, ani on sam. Jest większe od jakiegokolwiek pojęcia.

Przystanął na chwilę, zdumiony i prawie wyłękły, że tak właśnie jest — że można stać się samemu sobie dziwnym i niepojętym w takiej chwili i że może już nigdy potem nie wraca się do zostawionych a niedokończonych spraw, może już nigdy nie będzie się codziennym i powszednim. I wcale niewiadomo, czy tak można żyć, czy można się tak pomieścić wśród ludzi, których to przecież nie a nie nie obchodzi.

Nagle zbełtała się cisza. Od którejś strony sadu szepnęły miękkie, bezdźwięczne głosy. Oczy Franka, odrazu ocknięte, przeszukały sad i choć wśród splątanych cieniów nie można było się rozeznaczyć, domy-

ślił się, że na ławce pod orzechem siedzi ojciec i Hala. A wtedy ramiona, jakby dotknięte prądem, skrzywiły się od bólu. Jakiś inny, piekący żar rozpałił serce, i wargi skrzywiły się nad zdławionym krzykiem.

Pode drzwiami warował Iwaś.

— Słuchajcie — powiedział.

— Nie chcę — wycharczał Franek — nie chcę nic słyszeć!

I zatrzasnął za sobą drzwi.

Zapalił świecę. Blask wydłużonego płomienia zadygotał na pomierzwionej twarzy Franka, ale zmrużone powieki odgrodziły się od jaskrawości światła i długo jeszcze trwał w źrenicach mrok domysłów.

XVI.

I tak stało się, że Franek znowu ugrzązł w tych samych, codziennych a niedokończonych sprawach, które, zdawało się, nie miały już dla niego żadnego znaczenia. Ale teraz wszystko to, co było dotąd krzywdą i poniżeniem, przemieniło się w — mękę. Domysł rysował się coraz wyraźniej i lśniącą głowa Hali nie chciała zniknąć z kręgu widzenia. Zadużo, zadużo zebrało się tego naraz!

Nawet książki były w tym czasie niepotrzebne, bo wyprzedzały przemądrzałą konkluzją ledwo co zrodzone, własne poznanie. Trzeba było samemu łączyć strzępy przeżyć i wydarzeń, i zbierać je, niby sztabką magnesu. Więc i ta jazda koleją i ten pierwszy wieczór, ścięty chłodem obcości, poszarpany zdumieniem, że tak tu właśnie jest. A potem te wszystkie dni szarpiącej gry, udawania, chytrych podjazdów, ślepego uderzania głową o mur, żarliwych pragnień... Nie, zbyt trudno było podolać tej różnorodności.

Franek postanawiał więc:

— Trzeba, abym najmniej wiedział i rozumiał!

I zdawało się na chwilę, że tyle przecież potrafi — a tu niech się dzieje, co chce! A zresztą, tak dużo tu miejsca, że może się z ojcem i Halą nie spotykać częściej, niż koniecznie potrzeba.

Przejażdżki konne były jednak leniwe, nie dbałe i bez celu. Koń mógł skubać trawę, żując gniewnie poprzeczkę wędzidla, a oczy jeźdźca patrzyły bez zainteresowania na krase poletki chłopskie, na drzewa, goniące się skosem polnych dróg. Przechodzili czasem jacyś ludzie z mrukliwym witaniem, a czasem samotność rozplywała się po przestrzeniach. Wtedy senny wzrok ledwie mógł pozbierać jakiś szczegół małoważny, choćby te blisko żółcące się mlecze, choćby nikłe, w zakurzoną trawę wdeptane, jaskry.



S. BOROWSKA

3)

SZTUKA PISANIA LISTÓW MIŁOSNYCH

(Humoreska na smutny temat)

— Czytam listy od moich adoratorów. Czy nie chciałabyś posłuchać?... Gdy pada taki deszcz, jak dzisiaj, gdy Edward — (mąż) — robi gorsze miny, niż zwykle, a wiem, że nikt nie przyjedzie, otwieram tę szkatułkę — (traćła nogą skrzynkę, stojącą na podłodze) — i czytam ich listy. Wydzielają jakieś ciepło i światło, które narazie godzi mnie z życiem, deszczem i... Edwardem. Choć doprawdy, jest to już tylko „zmomifikowana“ miłość tych ludzi, zamknięta przezemnie w trumience z pachnącego sandałowego drzewa.

Końcem pantofla podważyła wieko otwartego drewnianego pudełka i zamknęła je. Ewa ujrzała rzeźbione cačko i usiadła, zaciekawiona, naprzeciw koleżanki. W życiu swem przecież nie miała ani jednego adoratora i nie otrzymała ani jednego listu miłosnego.

— Jestem kolekcjonerką listów miłosnych, — ciągnęła dalej Ewa z uśmiechem, — a choć mężczyźni naogół pisać nie lubią, zawsze każdego „zażywam“ tak umiejętnie, że jeśli jest zakochany — to napisze. Mam tu wszystkie listy, jakie kiedykolwiek w tej materji do mnie którykolwiek z nich napisał. Nawet z czasów pensjonarskich, nie zniszczyłam żadnego... Patrz, tu są listy Władka, tego niemądrego sztubaka z piątej klasy, który mnie prześladował swą adoracją, gdy byłam w czwartej. Może go pamiętasz jeszcze? włożył się za nami na spacerze...

Wzięła do ręki jakiś szpargalik i przeczytała:

„Ewuniu droga! ja kocham Cię za Twoje
cudne oczy...
O Tobie w nocy, dzień cały śnię, bo urok
ich uroczy...”

Gryzelda uśmiechała się blado. Wspominała swoje pokrzywdzone życie.

— A tu znów nieco późniejsze listy tegoż Władka, gdy był studentem, a ja dorosłą panną:

„Endymionie miły,
jakiż siły
sprzęgły Cię w przyjaźń ścisłą
z kapustą kislą?...”

Obie wybuchnęły śmiechem. Ewa komentowała:

— Wiesz, ta kapusta, to moja znajoma, z którą zawsze bywałyśmy razem. Władek jej nie znosił.

Ale nastrój się zmienił. Ewa wydobyła z pach-

nącej trumienki paczkę listów, związanych złotą wstążeczką:

— Listy jenerała...

Tu wymieniła znane, cudzoziemskie nazwisko, dźwięczące, jak kosztowny brelok, nasuwające samo przez się wspomnienie wojennej grozy.

Gryzelda wyciągnęła się na szezlongu, gotowa do długiego i cierpliwego słuchania tej niezwyklej lektury.

Ewa czytała. Głos jej był nieco przyćmiony, a intonacje jakby tkliwsze. Gryzelda uświadomiła to sobie, ale zaraz prawie potem zatraciła poczucie miejsca i czasu. Słowa płynęły nieznanne, nieoczekiwane, w marzeniach nie wyśnione. Słuchała nieprzeżytego na jawie romansu swego życia, do niej były pisane te listy.

Nie zauważyła, jak Ewa związała je ponownie złotą wstążką, jak odłożyła, jak wymówiła jakieś inne imię, uwalniając inną paczkę z więzów amarantowej taśmy, jak zaczęła znów czytać.

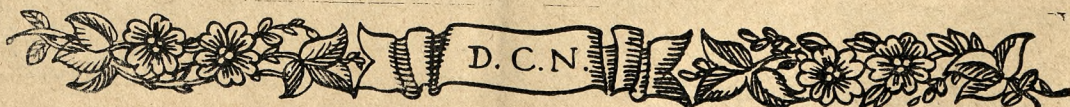
Był to tylko dalszy ciąg jej romansu, ale tutaj linja jego uczuć szamotała się w nieoczekiwanym konflikcie. Gryzelda płakała, współczuła ze swym wybrańcem, przebaczała mu wszystko i modliła się za niego.

Ewa wyjmowała jeden pakiecik po drugim, odczytywała z każdego po jednym lub kilka listów, wymieniała jakieś nazwiska. Gryzelda milczała, z rękami założonemi nad głową.

— Ty chyba śpisz! — zawołała wreszcie Ewa — zbudź się, przeczytam ci jeszcze listy Edwarda z czasów narzeczeńskich...

Gryzelda ocknęła się. Usiadła na szezlongu, spojrzała na Ewę dalekim, wółprzymotnym wzrokiem. Nie, nie otrzymała żadnego z tych listów, wszystkie przejęła w locie złotowłosa, pusta wiedźma. Zmomifikowała je na własny użytek, do czytania w dzień słotny, gdy oficerowie z K. O. P., czyli nowe ofiary na tem pustkowiu, nie dopisują.

Złemi oczami patrzyła na koleżankę i w tej chwili nie doceniała jej uduchowionej, porywającej urody. Nie pamiętała, że tylko jedna taka rodzi się na tysiąc jakichkolwiek, że cały szereg przodków musiał pięknie myśleć, czuć i działać na to, by taka, a nie inna Ewunia urodzić się mogła. Dla niej była to obca, pusta, bezmyślna kokietka, która jej coś wydarła. Co — Gryzelda nie sformułowała.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

NIEBIESKI GOŚĆ

Anna Słonczyńska: „Niebieski gość” — poemat o Chrystusie — Nakład Gebethnera i Wolffa

Twórczość Anny Słonczyńskiej zajmuje w poezji współczesnej stanowisko odrębne i odosobnione. Jest samotna i chłodna, jak marmurowa, doskonale oszlifowana kolumna, przecinająca chaos naszej epoki linją idealnie prostą, w suchości swej niemal jednowymiarową. Skąd się wzięła w konwulsyjnych skrętach rodzącego się boleśnie świata? czy jest szczątkiem jakiejś nieistniejącej już świątyni, czy zapowiedzią nowej? W każdym razie jest w niej jakiś olimpijski spokój, graniczący z bezwładem, w którym my, dzieci ruchu, zmiany, przewrotu, czujemy się obco, dusimy się, jak w nieodpowiedniej dla naszych płuc atmosferze.

Twórczość Anny Słonczyńskiej ma charakter zdecydowanie statyczny w przeciwieństwie do twórczości Hłakowiczówny, dynamicznej w każdym słowie, w każdym przemilczeniu. Poezja Hłakowiczówny — to ciągle stawanie się, to nieustająca erupcja, to łańcuch wiecznie czynnych wulkanów i gejzerów, rozdzierających co chwila tragicznymi ranami niezastygłą skorupę globu duszy, wirującego po jemu tylko wiadomej orbicie. Poezja Słonczyńskiej — to gładka tafla górskiego jeziora. Odbija ona wiernie niebo, słońce i księżyc, gwiazdy i obłoki, martwość pustyni skalnej i wiekuisty taniec górskich potoków, wykręcane z korzeniem lasy i walące po stokach lawiny; ale jej powierzchnia nie maści najłżejszy nawet powiew. Jest zabezpieczona od burz i skazana na wieczną nieruchomość, niedostępność i nietykalność, chyba, że jakiś orkan wyważy wrota skalne i otworzy upusty tej wodzie, uwięzionej wśród szczytów i zatracającej cechy żywiołu w dostojnej niewoli.

Dopóki twórczość Anny Słonczyńskiej nie ulegnie radykalnemu przewrotowi, równającemu się niemal katastrofie, dopóki nie nastąpi zdynamizowanie drżących w niej sił potencjalnych, dopóki jakaś burza nie zmaści jej aż do dna — dopóty nie mamy możliwości, ani prawa zbadać natury tego dna. Nie wiemy, czy jest niem muł, piasek, czy opoka; nie wiemy, czy wogóle ono istnieje, czy biją w niem jakieś źródła — wolno nam mówić jedynie o tem, co się maluje na powierzchni tych wód bez względu na ich głębokość.

Zobiektywizowany liryzm — oto kategoria, pod którą możnaby podciągnąć typ twórczości Anny Słonczyńskiej. Już w samym skojarzeniu tych dwu pojęć tkwi coś, przeciwnego naturze. Jest to jakby gwałt, zadany prawom jednostki przez jakiś dogmatyczny nakaz bezosobowej zbiorowości, ujęcie indywidualnych odruchów w ramy surowej dyscy-

pliny twórczej, rytm serca na komendę, emanacja ducha wedle rozkazu. I chociaż może nikomu wśród współczesnych poetów tak nie jest obca i daleka doktryna uniwersalizmu, jak Annie Słonczyńskiej, to jednak właśnie jej poezja jest najjaskrawszym przykładem, dokąd zaprowadzić może krańcowy, a bezwiedny uniwersalizm artystyczny, poparty wrodzonymi dyspozycjami intelektualnymi.

„Niebieski gość” — to tylko fragment poezji Słonczyńskiej, ale w tym fragmencie wypowiada się ona całkowicie i bez reszty, od początku do końca jest wierna sobie, ani na włos nie zbacza z raz przyjętej drogi. Jest spokojna i pewna. Równym, miarowym krokiem zdąża do celu, który jest zgóry wiadomy, określony, przewidziany. Jest to jakby doroczna pielgrzymka do miejsca świętego, tradycyjna pielgrzymka pątnika, który nie czeka cudu, bo go nie potrzebuje. Medytacja duszy wierzącej i gorliwej, której książka do nabożeństwa otworzyła się na stronie z napisem: „W tem miejscu czynić będzieciez rozpamiętywanie”.

I ona je czyni. Przypomina, roztrząsa, zastanawia się, rozważa. Nigdy nie wpada w ekstazę. Posłuszna dogmatowi wyobraźnia przesuwana się, jak wskazówka zegara od minuty do minuty, od godziny do godziny, zawsze w jednakim tempie, bez opóźnień i przyśpieszeń. Idealnie precyzyjna mechanizacja fantazji!

Poemat o Chrystusie! A zatem może szereg epickich obrazów, z których każdy podniesiony jest do godności wizji? Dzieciątka w Stajence, Jezus-pachole, nauczający mędrców w świątyni, kuszenie na puszczy, powołanie apostołów, wskreszenie Łazarza, uczta u faryzeusza, wjazd do Jerozolimy, Ostatnia Wieczerza, Ogrójec i Golgota, droga do Emaus i Wniebowstąpienie. A może wstrząsający potęgą i grozą dramat Miłości, Męki i Odkupienia? A może kosmiczny zatarg człowieka z Bogiem i ostateczne między nimi przymierze, przypieczętowane krwią Boga-Człowieka?

Nic z tego. To wszystko jest przecież w Ewangelji. Parafraza byłaby tylko błędem jej odbiciem. Najłżejsze odchylenie od jej tekstu — apokryfem. Poetka obierze inną, bezpieczniejszą drogę: nie natężenia, ale refleksji. Sama pozbawi się prawa twórczej inicjatywy, własnoręcznie stępi ostrze niebezpieczeństwa, tkwiącego w temacie; ale zarazem zgasi cały jego blask, zabije w zarodku wszystkie kielkujące w nim możliwości artystyczne. Zamiast poematu da nam próbę poetyckiej charakterystyki Chrystusa, jeszcze jeden wyczerpujący komentarz

do Pisma Św., do tekstu Ewangelji, z katechizmo-
wą ścisłością i niepospolitym kunsztem opracowany
przez wierną córkę Kościoła, biegłą w Piśmie i gor-
liwą w służbie Bożej. Przemawia przeciw do czy-
telników, którzy znają życie Chrystusa, nie opo-
wiada im, co czynił, ale jakim był. Zestawia fakty,
grupuje argumenty, wyprowadza wnioski. Czasem
uczucie rozsądza ramy komentarza, częściej poezja
zaprząga się pokornie w jarzmo teologii. Stajemy
niepostrzeżenie na pograniczu liryzmu i scholastyki,
cofamy się w zamierzchłe średniowiecze, bez gotyku
i bez witraży, w to średniowiecze, po którym musiał
przyjść pogański renesans, aby pierś ludzkości nie
wyschła na proch.

Anna Słonczyńska, poetka dogmatu, nie szuka
Boga, nie czyha na Niego po rozdrożach buntu
i zwątpienia. Ona wie, jest głęboko przekonana.
Może dlatego mówi o Nim zawsze w czasie prze-
szłym: „był prawdą oczywistą, życie prowadził
twarde, cierpienie uczcił, cuda czynił, śmierć zwy-
cięzył”. Tak! to jest Chrystus historyczny, Chrystus
Ewangelji, Ojców Kościoła, świętych i mądrych
ksiąg, marmurowego ołtarza, hebanowego krucy-
fiksu; Chrystus, przykryty całunem kultu, obezwła-
dniony materją form, ale nie ten wiekuiście żywy
Chrystus. Ofiary, codzień padający pod brzemieniem
mąk, krzywd i utrapień świata, co wieczór omdle-

wający w Ogrójcu zwątpienia, codzień krzyżowany
na hańbiącym drzewie naszych grzechów, co noc
zmarłychwstający w chwale zadośćuczynienia
i słupem ognia ulatujący w niebo z płnącego ko-
ścioła duszy.

Ale żeby takiego Chrystusa opiewać, trzeba
wprzód własny swój krzyż zanieść na Golgo-
tę, trzeba samemu sobie umrzeć i odrodzić się
w Chrystusie. Aby takiego Chrystusa ujrzeć w wizji
poetyckiej, nie dość jest wierzyć i wiedzieć, trzeba
umieć o Niego walczyć. Chrystus dyskutował z uczo-
nymi i pozwalał się kusić faryzeuszom, ale objawiał
się prostaczkom i gwałtownikom ducha, którzy
szturmem zdobywają Królestwo Niebieskie. Chrys-
tus, uśmierzający burzę, to jedyna nadzieja żeglarzy,
miotanych wichrami, to przyszłość kościoła wojują-
cego; ale żeby stał się cud pogody i ciszy, musi być
naprzód walka i burza — inaczej pogoda będzie
tylko martwością, a cisza — osłupieniem.

Dopiero po takim kataklizmie świadomość ist-
nienia Chrystusa zmieni się w dotykalne poczucie
jego obecności, poezja przestanie być komentarzem,
a stanie się bytem sama w sobie. Zamiast czasu prze-
szłego zjawi się czas teraźniejszy, jako forma jedy-
nie właściwa dla Tego, który nie mija, ale jako „nie-
bieski gość“ w domu duszy obiera sobie stałe sie-
dlisko.

KAMALINI SHRINAGAMIR

LISTY Z NAD GANGI

V.

A teraz — nieco psychologii.

Hinduska jest głęboko religijna. Całe jej ży-
cie — to nieustanna modlitwa, a każdą najbłahszą na-
wet czynność dnia powszedniego spełnia w duchu re-
ligijnej ofiary.

Życie duchowe i religijne jest w Indjach otocz-
one czcią głęboką. Modlitwa, pobożne rozmyślenia są
poczytywane za najważniejsze zatrudnienia, wobec
których wszystko inne musi ustąpić na stronę. Nikt
nie ośmieli się przerwać modlitwy, wezwać do pracy
modlącą się kobietę. W każdym domu hinduskim
znajduje się pokój, specjalnie na modlitwę przeznac-
zony. Tam gromadzą się codziennie wszyscy domow-
nicy na wspólne poranne, południowe i wieczorne mo-
dlitwy; tam również, o każdej porze dnia i nocy, chro-
ni się każdy, pragnący się modlić lub medytować.
Pod tym względem korzysta hinduska z o wiele więk-
szej swobody, niż jej siostra na Zachodzie, której roz-
liczne zajęcia i gorączkowy tryb życia nie pozwala-
ją nieraz na chwilę bodaj samotności i skupienia.

Długie godziny spędza hinduska w świątyni, a
pracując, szepcze nieustannie pobożne mantramy, za-
pewniające pracy tej błogosławieństwo Boże.

Hinduska — to natura nawskroś refleksyjna.
Opanowanie, spokój są ideałami, ku którym dąży od
dzieciństwa. Od dzieciństwa również zaprawia się
w umiejętności doskonałej medytacji. Zczasem zdo-
bywa taką potęgę skupienia, intensywnego skoncen-
trowania wszystkich władz umysłu i duszy, iż zdol-
na jest nieraz godziny całe trwać w „zachwyceniu”,
niepomna otaczającego ją świata.

W dziedzinie życia duchowego posiada hindu-
ska absolutną swobodę. Może wciągu długich tygo-
dni żyć w odosobnieniu od reszty domowników, tra-
wiąc czas na modlitwie i rozmyśleniach; nikt jej z te-
go powodu nie uczyni najlżejszej wymówki, a inne
kobiety chętnie podejmą się pracy, którą ona chwi-
lowo zaniedbuje. Może wybrać sobie jakiego chce
„guru“ (przewodnika duchowego), lub też iść wyłącz-
nie za głosem własnego natchnienia, — nikt, nawet
rodzice, nie czują się uprawnieni do czynienia jej



Działaczki hinduskie na wycozasach w Europie

z tego powodu jakichkolwiek uwag, lub udzielania rad.

— „...tego mi czynić niewolno!” lub „...tak winnam postąpić”. — Werdykt bezapelacyjny, do którego każdy odnosi się z szacunkiem.

Widzimy więc, iż nawet w purdzie żyjąca hinduska jest absolutną panią swej woli, uczy się żyć samodzielnie i w pełni ponosić odpowiedzialność za swe czyny. Ta wielka niezależność duchowa jednoczy się u naszych kobiet z poszanowaniem najdrobniejszych nawet przepisów religijnych. Hinduska jest szczęśliwą, gdy jej ich treść i znaczenie wytłumaczono, w przeciwnym jednak razie wypełnia je równie sumiennie i skrupulatnie.

Jako przykład, cytuję fakt następujący: istnieje przepis, iż wdowie bramina nie wolno jeść w obecności swego żonatego syna, tembardziej pokarmów, których on się dotknął. Widząc, jak wdowa bramina przerywa posiłek, gdy syn wszedł do jej pokoju, może postronny obserwator, cudzoziemiec, odnieść wrażenie, iż się obraziła lub rozzaliła na syna. Bynajmniej. Ona się jeno wiernie stosuje do przepisu kastowego, rozumiejąc intencję prawodawcy. Postępek ten jest jednym z przejawów wielkiej obowiązkowości hinduski. Zaprawdę, gdy chodzi o spełnienie obowiązku, nie istnieje dla kobiet naszych żadna trudność. Nic nie zdoła ich powstrzymać od wykonania tego, co uważają za swój obowiązek. Są pod tym względem zdolne do największego poświęcenia i samozaparcia. A czynią to wszystko z tak przedziwnym wprost spokojem i prostotą, pracują cicho i sumiennie, bez pośpiechu i rozgorączkowania. Nie szukają w tem chluby, ni rozgłosu, a spełniają poprostu,

co do nich należy. Służą. Biorą udział w pracy, która dla dobra świata wykonaną być musi. Oto jak hinduska odnosi się do każdej swej pracy.

Tak religja zapewnia hindusce wewnętrzną wolność duchową. Daje jej również zewnętrzną wolność czynu. Aby wypełnić nakazy religji, nie waha się hinduska porzucić nawet bezpiecznej klauzury purdhy.

Pielgrzymki do miejsc świętych, cudami słynących, stanowią największe szczęście i radość hinduski. Szczytem jej marzenia jest odwiedzenie choć raz w życiu wszystkich najważniejszych centrów życia religijnego Indyj.

Na pielgrzymki te wyruszają zarówno zgrzybiałe staruszki, jak i dziewczęta nieletnie, zarówno wolne córki Południa, jak i te, co z surowym rygoryzmem przestrzegają klauzury purdhy. Dla tych ostatnich zwłaszcza jest pielgrzymka niczem niezastąpionem dobrodziejstwem; oddziaływa na nie w cudowny wprost sposób. W czasie pielgrzymki dokonuje się w duszy hinduski istna metamorfoza. Znika strach i zażenowanie, wygładza się jakoby jakiś, pod wpływem odosobnienia powstały, załom jej psychiki. Hinduska prostuje się duchowo, nabiera śmiałości i odwagi życia. A młode, które nie zdążyły jeszcze przywyknąć do purdhy, wynoszą z wędrówki tej wzmożoną tęsknotę do wolnego życia i bunt przeciw niewoli.

Dzielnie i bez szemrania znoszą kobiety nasze wszelkie niewygody i przywacje, związane z daleką pieszą wędrówką, noclegi pod gołym niebem w czas słoty, spiekę upalnych południ. W ciągu tych kilku tygodni, spędzonych na świeżem powietrzu, czerpią one nowe zapasy energii i zdrowia. Dla większości kobiet są pielgrzymki te jedyną przeciw wagą niehigienicznych warunków życia w purdzie.

Jakaż kobieta jest równie wolna, jak nasze wędrowniczki pobożne, „saniassinie”? Krążą one nieustannie po całych Indjach, odwiedzając wszystkie najważniejsze centra naszego życia religijnego; tułaczki bezdomne, a jednak podejmowane wszędzie z czcią najgłębszą. Tak religja staje się sprzymierzeńcem kobiety w jej dążeniu ku wyzwoleniu.

Patryjotyzm jest drugim potężnym czynnikiem, niosącym wolność hindusce. Ojczyznę swą miłuje hinduska sercem całym i w imię miłości tej wyłamuje się z pod skrępowań purdhy. Ona, tak zazwyczaj lękliwa i nieśmiała, staje bez wahania przy boku obcego nawet mężczyzny, jeśli w nim widzi bojownika o sprawę Ojczyzny. Rozumnie pokierowane, wyrabiają się hinduski na świetne działaczki polityczne, wnosząc do pracy swej płomienny zapał, a zarazem obowiązkowość i spokój. Służbie ojczyzny oddają się całą duszą, poświęcają dla niej mienie, przez odwieczną tradycję uświęcone przekonania, a nawet wolność i życie. Z równym spokojem oddają swe klejnoty i pieńiędzy, rzucają na stos szaty, sporządzone z europej-



Shramati Rukmim—działaczka, pracująca w opiece społecznej nad parjasami

skich materiałów (nierazko mienie całe), jak biorą udział w patryjotycznych manifestacjach, tłumionych krwawo przez wojsko. To też znają hinduski grzech więzień angielskich; szły do nich zrazu dobrowolnie, aby dzielić los swych mężów, a potem były do nich wtrącane za własną już działalność patryjotyczną.

A oto kilka faktów. Rok 1917. W Madras zaaresztowano kilku działaczy niepodległościowych. Stan wojenny. Po mieście krążą gęsto zbrojne patrole. Kobiety nie ulęknęły się jednak. Wbrew zakazom władzy, urządziły tłumną, lecz spokojną manifestację i zdecydowaną swą postawą zmusiły władze do uwolnienia więźniów. Inny przykład. Rok 1920. Gandhi aresztowany. Kobiety rozwożą samochodami odezwę patryjotyczną, kobiety przewodzą potężnemu wiecowi protestacyjnemu, nieulękle stawiają czoło szarżującej policji.

Rok 1921. Kobiety mają po raz pierwszy wziąć udział w wyborach. Dla mieszkanki purdhy to rzecz nowa, niesłychana, przerażająca, która się przeto stać nie może. Tak ostrzegała oburzona tradycja, lecz dzień dzisiejszy gromkim głosem domagał się czegoś wręcz przeciwnego. Wołał, iż udział w wyborach jest obowiązkiem narodowym, od którego spełnienia nikomu uchylać się nie wolno. Głos ten zwyciężył. Kobiety głosowały coprawda w specjalnie dla nich zarezerwowanych lokalach, w których urzędowały kobiety.

Gdy jednak rozeszła się pogłoska, iż z tego powodu wybory mogą być unieważnione, wyborczynie zażądały samorzutnie urzędników, aby sprawdzili, czy wszystkie formalności są należycie przestrzegane. Niech Pani przypomni sobie, co w poprzednim liście pisałam o lęku, jaki w hindusce wzbudza każdy obcy mężczyzna, a pojmie Pani, iż prosty ten, napozór, czyn był ze strony tych kobiet dowodem bohaterkiego wprost patryjotyzmu.

Rok 1928. Kobiety biorą czynny i liczny udział w bojkocie Komisji Simona; wiele z nich odnosi rany. W obecnym zaś roku nikt równie energicznie, jak kobiety nasze, nie szerzy hasła „Swadeshi” (samowystarczalność gospodarcza) oraz bojkotu towarów zagranicznych. A bojkot ten nie jest czymś frazesem, lecz dobrowolnym niszczeniem swej własności, nawet najdrogocenniejszej i najmilszej.

Nie chodzi mi tu o wyszczególnienie wszystkich prac, do których podjęcia natchnęła hinduską miłość Ojczyzny. Opiszę je w innym liście. Dziś pragnę je tylko uwydatnić, iż miłość Ojczyzny niesie kobiecie Indyj wyzwolenie. Niesie również głód wiedzy. Te, które u źródeł jej piły, łamią śmiało wszystkie piętrzące się na ich drodze przeszkody; śpieszą za ocean, w dalekie, nieznane kraje, byleby uzyskać możliwość dalszego kształcenia się i dzielić się z własnym społeczeństwem owocami swego trudu. A jedynie hinduska ocenić jest zdolna, jakich ofiar czyn ten od nich wymaga.

We własnej duszy czerpią hinduski owe twórcze moce, które im niosą wyzwolenie. Samoofiarność, ciche bohaterstwo, wierna i głęboka miłość, sumienność i obowiązkowość — oto podstawowe cnoty, którymi hinduska żyje zarówno dziś, jak tysiące lat temu.

Europejczykowi wydaje się milezącą, zamkniętą w sobie i chłodną. W istocie zaś jest opanowana, skoncentrowana i nieekspansywna. Nie objawia swych uczuć frazesem, ni gestem, lecz celowym czynem. Żyje swą własną prawdą wewnętrzną. Dziś zrywa krępujące ją więzy, aby móc w życiu swego narodu zajmować przynależne sobie stanowisko, wzbogacać je skarbami swej duszy i umysłu.

Z TEATRÓW

TEATR MAŁY:

„Para nie para” — komedia w 3 aktach Zygmunta Kawęckiego. Reżyserja Jerzego Leszczyńskiego, dekoracje Stanisława Śliwińskiego.

Problemat małżeństwa, miłości i zdrady ma, jak pierwszorzędną aktorka, doskonale „warunki sceniczne”—może dlatego, że miłość sama przez się jest ślicznym, improwizowanym teatrem, małżeństwo składa się z szeregu „scen”, a zdrada wytwarza znakomitą „sytuację”. A zresztą do tego niestarzejącego się zagadnienia można podejść ze wszystkich stron: od strony tragedji, dramatu, komedji, czy farsy, i w dowolnym tempie: appas-

sionato, adagio, allegro agitato, lento... Istny raid gwiazdzisty, na którym łatwiej skrócić kark, niż zdobyć rekord, bo w rozmaitości dróg jakże trudno znaleźć tę nową nieznaną, a jednocześnie leżącą w naturze własnego talentu.

Kawecki poszedł po linii, znanej nam już z „Fury słomy“: potraktował perypetje swojej „pary nie pary“ w tonie „buffo“, a choć zmatował gdzieś tam ton leżką sentymentalno - moralistyczną, to jednak zasadnicze tło farsowe przebija wszędzie przez pospolity deseń małostek ludzkich.

Grube są nici, które ten deseń pośpiesznie zahaftowano: płytki strumyczek, czy rynsztoczek, którymi płyną mętne i niezawsze wonne losy tych tuzinkowych figurek o ptasich mózgach i płaskich obliczach duchowych. Całą kolekcję typów niedowarzonych i pomylnych puścił Kawecki w ruch obrotowy około jednej wspólnej osi erotycznego doboru.

Z takiego materiału ludzkiego i sytuacyjnego można najłatwiej wykrzesać iskry niewybrednego humoru, ale kiedy na afiszu widnieje słowo „komedia“, to mimowoli szukamy w niej finezji, pointe'y, pogłębienia charakterów.

Tymczasem stosunek Kaweckiego do jego postaci jest niedbały i chwiejny, a ich linja, jakby niedociągnięta do poziomu pierwotnej koncepcji. O głównym bohaterze Semilskim słyszymy np. ciągle, że jest zawodowym donżuanem. Tymczasem przez całe trzy akty ten rzekomo stuprocentowy mężczyzna, ani razu nie zdradza cech genjalnego uwodziciela. Wprawdzie rozrywają go kobiety, ale raczej „faute de mieux“, prosto dlatego, że jest bez konkurencji w otoczeniu takich przysięgłych niedołęgów, jak dr. Monk, zawodowych bawidamków i plotkarzy, jak Bawia - Bawiński, i tokujących żółtodziobów w rodzaju panów Toto, Mumu i Bibi.

Pani Zu, według utartego szablonu motywująca swoją zdradę odwetem za zaniedbanie swej osoby przez męża i jego nieprawdopodobne powodzenie u kobiet, w gruncie rzeczy jest bezmyślną samiczką, romansującą z pierwszym z brzegu smarkaczem, aby udowodnić mężowi, że i ona także! Żalose w swoim beznamiętnym zepsuciu zwierzątko, a zarazem sprytna gaska, która wie, jak ma zagrać na słabych strunach męża i w decydującej chwili przykuje go do siebie wygodnym fotelem, bezgranicznym kultem dla jego osoby i aż przykrem, jako efekt sceniczny, upokorzeniem samej siebie.

Pani Zu, zakłamaną do szczytu w swych przelotnych miłościach, szczera i pozbawiona godności osobistej w swem uczuciu, jest doskonałym typem t. zw. stuprocentowej kobiety, w której zabrakło miejsca choćby na jeden procent człowieczeństwa. Taka kobieta zwycięża podobno zawsze w grze o miłość.

Drugoplanowe typy postawione są naogół mocniej i obrysowane groteskową linją, którą chwilami gra aktorska wykrzywiła grymasem karykatury i błazeństwa.

Romanówna w roli Zu trafiła na właściwy ton. Była zepsutem, psotnym dzieckiem, które boi się kary i w gruncie rzeczy kocha tego, który ją krótko trzyma. Grabowski, jako Semilski, wahał się między stuprocentowym mężczyzną a kabotyńcem, z wybitną przewagą drugiego nad pierwszym. Szubert w roli dr. Monka dał, zgodnie z intencjami autora, jednolitą sylwetę urodzonego niedołęgi. Modrzewska miała akcenty dyskretnego liryzmu.

Reżyserja grawitowała w kierunku szarzy, co resztę aktorów pchnęło na niebezpieczną pochylnię taniego komizmu. Dialog, prowadzony w żywym tempie, niepotrzebnie hamowało niezręczne powtarzanie się dowcipów i gry słów, osłabiając efekt sceniczny. Tekst, opracowany bruljonowo, gwałtownie domaga się zbiorowej rewizji autora i reżysera. Całość zajmująca i zabawna niewątpliwie cieszyć się będzie powodzeniem.

S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

MIĘDZYNARODOWA FEDERACJA KOBIET

W dniach od 7 do 14 sierpnia odbędzie się w Genewie światowy kongres Międzynarodowej Federacji Kobiet z wyższym wykształceniem, połączony z uroczystością dziesiątej rocznicy założenia tej organizacji, obejmującej 51 stowarzyszeń narodowych z całego świata. Celem Federacji jest utrzymanie kontaktu między kobietami, które ukończyły wyższe uczelnie, obrona ich interesów, oparta na dobrze zrozumianej solidarności i na szerokiej skali rozwiniętej samopomocy, wreszcie stworzenie warunków, ułatwiających im prace zawodowe i naukowe. W tym ostatnim celu Federacja corocznie rozdziela stypendja swym członkiniom na pogłębienie studjów naukowych.

Pozatem tworzy wielkie kluby, np. w Waszyngtonie, w Paryżu, w Londynie, w Atenach, organizuje wymianę nauczycielek szkół średnich różnych krajów, urządza zbiorowe wycieczki. Utrzymuje stały kontakt z Instytutem współpracy intelektualnej przy Lidze Narodów.

Na kongresie genewskim p. Curie-Skłodowska wygłosi referat o wartości badań naukowych; sprawę warunków bytu i pracy inteligencji omówi członek zarządu Międzynarodowego Biura Pracy. Przewidziane są wycieczki naukowe w celu zwiedzenia wysoce kulturalnych instytucyj szwajcarskich.

MEMORJAŁ W SPRAWIE REFORMY SZKOLNICTWA ŻEŃSKIEGO

Dn. 12 lipca r. b. udała się do p. Ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego delegacja w osobach p. Zofji Moraczewskiej, przewodniczącej Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet i p. Natalji Greniewskiej, członkini Zarządu oddziału warszawskiego tegoż Związku. Delegacja wręczyła p. Ministrowi memorjał następującej treści:

„Do Pana Ministra Wyznań Religijnych i oświecenia publicznego — w miejscu.

Zważywszy, że trudne położenie Państwa wymaga właściwego zużytkowania sił i zdolności zarówno obywateli, jak i obywaterek, wobec czego jaknajlepsze przygotowanie tych sił do pracy powinno być najpierwszem zadaniem władz i społeczeństwa; zważywszy, że projektowana przez p. Degen-Słóarską i omawiana na zjeździe delegatów Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych w Warszawie reforma zmierza do obniżenia poziomu żeńskiej szkoły średniej ogólnokształcącej, co utrudniałoby kobietom dostęp do wyższych uczelni; zważywszy, że kobiety w Polsce są równouprawnione politycznie i społecznie, więc nie mogą mieć ograniczeń na polu wykształcenia; zważywszy wreszcie, że społeczne warunki życia gospodarczego zmuszają kobiety do pracy zarobkowej, a wszelkie obniżenie kwalifikacyj utrudniałoby im walkę o byt — uważamy za konieczne podać do wiadomości Pana Ministra, iż stowarzyszenia i związki kobiece zastrzegają się stanowczo przeciw wszelkim próbom realizacji projektu p. Degen-Słóarskiej i Włocławskiego Koła Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, jako częściowej reformie szkolnictwa średniego ogólnokształcącego, obejmującej wyłącznie szkolnictwo żeńskie“.

Podpisały następujące organizacje:

Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet — Zarząd Główny, Warszawskie Zrzeszenie Wojewódzkie, Oddział Warszawski; Rada Narodowa Polek; Narodowa Organizacja Kobiet; Zjednoczenie Pracy Wsi i Miast; Klub polityczny kobiet postępowych; Koło Polek; Polskie stowarzyszenie kobiet z wyższym wykształceniem; Stowarzyszenie „Rodzina Wojskowa“; Organizacja Przystosowania kobiet do obrony kraju; Związek Strzelecki; Towarzystwo klubów kobiet pracujących; Związek kobiet polskich, pracujących w handlu i biurowości i Polska Partja Socjalistyczna Frakcja Rewolucyjna, Centralny Wydział kobiecy.

PLACÓWKI GOSPODARCZE DLA KOBIET

IV.

Wyższe wykształcenie ogrodnicze.

Wież polska roi się od niedouczonej badytarzy, szczytających się szumnym tytułem „ogrodnika“, są to jednak w gruncie rzeczy marni robotnicy ogrodnicy, którzy w najlepszym razie pracowali, jako tacy, w jednym z większych zakładów ogrodniczych, częściej jednak byli podręcznymi przy ogrodnikach dworskich. W ogrodach, odznaczających się tem, że „porządki“ robi się „od gości“—szparagarnie nigdy nie są czyszczone, maliny stanowią lasy dziewicze, a w szkółkach nikt nie wie, co zostało zaszczeplone, i co się przyjęło.

Jest rzeczą charakterystyczną, że *kobiet - ogrodniczek* tej kategorii niema wcale. Żadna robotnica ogrodowa nie ma pretensji do przyjęcia posady ogrodniczki, natomiast kobiety garną się do szkół ogrodniczych rozmaitych typów i doskonale orjentują się w tem, że na to, by zostać ogrodniczką, trzeba praktykę oprzeć na teorii, a teorię dopełnić praktyką. Ten zasadniczy kąt widzenia sprawia, że nietylko szkoły ogrodnicze średnie mają daleko więcej słuchaczek kobiet, niż mężczyzn, ale to samo dotyczy wydziałów ogrodniczych w uniwersytetach i w Warszawskiej Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

W roku akademickim 1928/29 było słuchaczów na wydziale ogrodniczym Szkoły Głównej:

	Ogółem osób	Studentów	Studentek	Wol. sł.
Rok I-szy	74	26	47	1
„ II-gi	61	11	50	—
„ III-ci	50	8	42	—
„ IV-ty	45	5	40	—
Razem . . .	230	50	179	1



Przygotowanie marchewki do wysyłki

Ukończyło Wydział ogrodniczy w 1928/29 r.

w terminie jesiennym	16 osób
w terminie zimowym	9 osób
w terminie wiosennym	7 osób
Razem	32 osoby

Nie mam danych co do liczby kobiet, które opracowały referaty dyplomowe w terminach jesiennym i zimowym, natomiast w terminie wiosennym na 7 osób był tylko jeden mężczyzna.

Tematy prac dyplomowych mogą dać pewne pojęcie o tem, w jakich kierunkach zmiierają upodobania naszych ogrodniczek, kończących Szkołę Główną:

1. *Konopacka Wanda*: Nowy pasożyt buku.
2. *Rudowska Marja*: Część I. Opis karłowatego ogrodu francuskiego Ulricha w Górcach i Ogrodu pomologicznego w Warszawie, ze szczególnem uwzględnieniem kwitnienia. Część II. Badania nad kwitnieniem gruszy „Doyenne de Merode“.
3. *Kazińska Katarzyna*: „Vinum“ i ocena tego



Wiosenne czyszczenie drzew



Przygotowanie cieczy bordoskiej



Wietrzenie inspektów

preparatu z punktu widzenia praktycznego dla winiarstwa.

4. *Tarnomska Sławomira*: Ochrona roślin.

5. *Miecznikowska Wanda*: Ogródki przy chatkach wiejskich.

6. *Kaczyńska Jadwiga*: Rak ziemniaczany.

7. *Bańkowski Stefan*: Obserwacja nad wpływem nawozów sztucznych na rozwój złości.

Wśród 6-ciu tematów prac dyplomowych naszych ogrodniczek uderza ogromna różnorodność treści, ujmującej zarówno przedmioty specjalne z zakresu przetwórstwa, patologii, techniki ogrodniczej, jak i działalności społecznej. Ta wielka rozpiętość tematów dowodzi, że w naszej Szkole Głównej niema „nastawienia” na jeden kierunek, ale jest dążenie do wyrobienia pracownic samodzielnych, twórczych.

Statystyka, podana wyżej przemownie, ujawnia fakt charakterystyczny większej równomierności w uczęszczaniu studentek na wszystkie semestry, niż studentów. Podczas, gdy liczba studentek waha się między 47 na I semestrze, a 40 na IV, to liczba studentów z 26 spada w II semestrze na 11, a w IV na — 5.

Wśród profesorów Szkoły Głównej jeszcze kobiet na wydziale ogrodniczym nie spotykamy; natomiast p. Helena Falkowska jest adjunktem przy Zakładzie genetyki i hodowli roślin w Skierniewicach, a p. Jadwiga Golińska asystentką przy Zakładzie warzywnictwa tamże. Prócz tego spotykamy w Instytucie naukowym Puławskim kilka kobiet na odpowiedzialnych stanowiskach i nie ulega wątpliwości, że wśród naszych młodych sił są takie, które dadzą się poznać w pracach naukowych.

Kurs nauk w Szkole Głównej jest 4-ro letni, jednak absolwenci rzadko kiedy kończą nauki w tym okresie: przeważnie prowadzą studia przez 5 — 6 lat, przyczem w III-cim roku obowiązkowa jest praktyka w Skierniewicach, gdzie studentki mają swoją bursę.

Po klęskowej zimie ubiegłej otwiera się dla ogrodnictwa polskiego okres pracy wyteźonej i wzmożonej do najwyższego stopnia, aby jaknajprędzej nagrodzić straty, wyrządzone przez straszliwe mrozy w naszym sadownictwie i szkółkarstwie. Planowanie i zakładanie drobnych ogródków w miastach - ogrodach, planowanie nowych wsi i osiedli, walka z pasożytami, rozwój ogrodnictwa szklarniowego, specjalizacja w nasiennictwie, — oto szerokie pole, otwarte dla inicjatywy i pracy kobiety. Łączy się z tem jaknajszerzej pojęte instruktorstwo i działalność pedagogiczna w szkołach rolniczych, tworząc dla naszych ogrodniczek zasięg pracy bogatej, rozległej, poddla inicjatywy.

M. Karczemska.

JAK ODPOCZYWAĆ W MIEŚCIE

Wiele osób musi najgorętsze i najodpowiedniejsze na odpoczynek miesiące spędzać w mieście, gdyż nie każdemu w tym czasie uda się uzyskać urlop.

Zresztą, miesiąc urlopu po całorocznej pracy — to nieraz zbyt mało na gruntowny odpoczynek dla zmęczonego mózgu i wyczerpanych nerwów. Umiejętność zatem dopełnienia lub zastąpienia urlopu odpoczynkiem w mieście jest bardzo ważna, zwłaszcza dla ludzi, na których praca umysłowa działa specjalnie wyczerpująco.

Na odpoczynkową wartość urlopu, spędzonego na wsi lub w uzdrowisku, składa się wiele czynników. Prócz leczniczych i klimatycznych, gra dużą rolę zmiana otoczenia i warunków, a bardzo znaczny wpływ ma to, że podczas wakacyj prowadzimy znacznie higieniczniejszy i bardziej racjonalny tryb życia, niż w mieście.

Kładziemy się spać i wstajemy wcześniej; używamy więcej ruchu i wysiłku fizycznego; jemy prostsze i zdrowsze potrawy; spożywamy mniej herbaty, kawy i alkoholu; przebywamy większą część dnia na słońcu i powietrzu — słowem, wiele pozornie drobnych okoliczności składa się na sumę naszego odpoczynku.

Wszystkie te czynniki, które tu wymieniłam, dadzą się wykorzystać i w mieście, tak że przy pewnym wysiłku woli możemy stworzyć nawet przy zwykłym, biurowym trybie życia sposobność dodatkowego odpoczynku, poza przysługującym nam miesiącem urlopu.

Będzie to narazie wymagało pewnego natężenia woli, bardzo prędko jednak wejdzie w przyzwyczajenie i da z pewnością dodatnie rezultaty.

Każdy, kto odczuwał skutki przepracowania i wyczerpania nerwowego, mógł zauważyć, że z zupełnie innym uczuciem budzi się rano, jeśli położył się

spać i zasnął przed północą. Sen wcześniejszy i wcześniejsze wstanie specjalnie dobrze działają na zmęczone nerwy. Człowiek, który położył się spać o 2-iej w nocy, choćby spał 9 czy 10 godzin, nie obudzi się z tem uczuciem świeżości i zadowolenia, jak ten, co zasnął o 10-iej wiecz. Późne wstanie działa deprymująco.

Przy biurzem zajęciu niema mowy o późnem wstawaniu, ale, niestety, mało kto stosuje do niego zwyczaj wczesnego kładzenia się spać.

Otóż, kto chce zorganizować sobie dodatkowy urlop w mieście, musi postanowić sobie, że przez miesiąc nie istnieją dla niego teatr, dancin, ani późne seanse w kinie, gdyż dostateczna ilość snu jest kardynalnym warunkiem odpoczynku nerwów i mózgu.

Spać należy się kłaść najpóźniej o wpół do 10-iej i to nie z książką, którą się w łóżku do późnej nocy czyta, lecz o tej godzinie już zgasić światło. Wstawać zato, zależnie od potrzebnej organizmowi ilości snu — po 8, 9 czy 10 godzinach, wtedy, gdy człowiek sam się budzi z uczuciem zadowolenia, że się wyspał.

Im kto więcej potrzebuje godzin snu, tem wcześniejsz musi chodzić spać, gdyż do programu wypoczynku należy obowiązkowy spacer ranny przed rozpoczęciem pracy. Bowiem godziny wolne, uzyskane przez wcześniejsze wstanie, należy zużyć nie na pracę dodatkową, lecz na zaczerpnięcie nowych sił.

Niewyczerpanem ich źródłem jest przyroda, to też musimy się postarać o stały z nią kontakt. Las, park, ogród, czy nawet większy skwer — może być miejscem odpoczynku.

Zresztą, gdy tylko wyjdziemy z domu przed 7-ą na puste prawie ulice miasta, odrazu za bramą niemal pocujemy, jak wraz z powietrzem, wolnem jeszcze od fabrycznych wyziewów, przenika w nas rześka świeżość poranka i czujemy przyływ energii, która zdaje się o tej porze napełniać wszystko, co istnieje. Kto skłonny jest do apatii i nie umie sam zdobyć się na dostateczną ilość energii, może jej nabyć tylko rano.

Po 10 minutach rannej gimnastyki, dokładnem zmyciu i wytarciu szorstkim ręcznikiem całego ciała, organizm poprostu domaga się dalszego ruchu; czujemy, jak dziwnie lekko jest iść i z przyjemnością przebywamy nawet daleką drogę do parku czy ogrodu. Idźmy więc, dopóki nie odczujemy lekkiego znużenia i jaknajintensywniej wchłaniajmy w siebie wszystkie uspokajające i miłe wrażenia. Wczujmy się w spokój miasta o tej porze, w świeżość wiatru, w wilgotny, żywy chłód liści, w głosy ptaków, zapach kwiatów na klombach. Wchłaniajmy te wszystkie pogodne obrazy wszystkiemi zmysłami: wzrokiem, słuchem, węchem i dotykiem. Nie myślmy absolutnie o tem, co nas czeka przez cały dzień. Idźmy krokiem równym, rytmicznie oddychając, robiąc krótkie pauzy między wdechem i wydechem.

Gdy pocujemy znużenie, usiądźmy wygodnie

na jakiej ławce, w miejscu, skąd widok jest o ile można rozległy i, nie przerywając toku pogodnych myśli — lub, jeśli kto umie, nie myśląc o niczem — patrzmy na dalekie przedmioty na horyzoncie. Pozwoli to odpocząć oczom, zmęczonym czytaniem i pracą.

Wracając do domu, lub też wprost do zajęcia, wracamy też powoli myślą do rzeczywistości i otaczających warunków. Układamy sobie plan działania na cały dzień, ewentualny rozkład pracy w biurze, sposób załatwienia różnych spraw i t. p. Takie wprowadzenie się w nastrój roboty jest bardzo ważne, gdyż inaczej raptowny przeskoczenie od pogodnej kontemplacji przyrody do pracy biurowej — źle się na niej odbije i w rezultacie da niemiłe i deprymujące wrażenie niezdolności do skupienia się i wysiłku.

Na drugie śniadanie zjadamy chleb razowy nie z mięsem ani ostrym serem, ale z pomidorem lub ogórkiem i owoce.

Wogóle w odżywianiu się podczas odpoczynku starajmy się używać tych potraw, jakie przeważnie jada się na wsi, a więc: mało lub wcale mięsa, natomiast dużo jarzyn gotowanych i surowych (doskonalszych, jako sałatka), owoców, zsiadłego mleka i razowego chleba. Ponieważ w lecie jaja są tańsze, można przy ich użyciu kombinować doskonale obiady, zawierające zupełnie wystarczającą ilość białka.

Obiad zjadamy jak można najwcześniejsz. O ile spędzamy urlop w mieście, to ułożmy sobie taki tryb życia, by najobfitszy posiłek dnia wypadł między 12 a 1 popoł.

Nie znalazłam w żadnym podręczniku higieny wyjaśnienia tego faktu, ale osobiście doświadczyłam, że o wiele lepiej się czuję, gdy obiad jem o 12, a nie o 3-iej.

Wybermy więc sobie możliwie najwcześniejszą godzinę i przestrzegajmy jej stale, gdyż regularność w jedzeniu jest z higienicznego punktu widzenia niezmiernie ważna. Po obiedzie pół g. odpoczywamy, siedząc lub leżąc z zamkniętymi oczami, oddychając rytmicznie i znowuż nie myśląc o niczem, lub o pogodnych i miłych rzeczach.

Po tym odpoczynku 2 — 3 godziny poświęcamy na sport, spacer, wycieczkę. Najlepszy wypoczynek dają sporty wodne (wioślarstwo i żeglarstwo), gdyż żaden widok nie działa tak uspokajająco, jak widok bieżącej wody. Ruch i wysiłek fizyczny, jakiego wymaga wioślarstwo, czy inny sport, wyrównują szkodliwe dla organizmu wpływy biurowej pracy. Niezmiernie ważnym czynnikiem jest miły nastrój i wesolość życia klubowego. Aby czuć się rzeczywiście zdrowym, człowiek musi mieć codziennie trochę dobrej zabawy i śmiechu.

Dlatego, jeśli wyjątkowo niesprzyjająca pogoda przeszkodzić ćwiczeniom sportowym, dobrze będzie pójść do kina na dobrą komedję lub farsę, ale nigdy na dramat. No i naturalnie pójść na pierwszy seans, żeby nie zmieniać godzin snu. W razie przymusowego

siedzenia w domu, można też przeczytać jakąś pogodną lub dowcipną książkę, ale tylko nie przed samym snem, lecz tylko do kolacji.

Bardzo dobrze, jeśli ktoś zmęczony zdobędzie się na taki odpoczynek przed urlopem; bywa bowiem tak, że wysiłek nerwów, jaki podtrzymuje jeszcze człowieka w poczuciu, że trzeba pracę skończyć, ustępuje po zniknięciu tego bodźca i na początku urlopu mamy uczucie jeszcze silniejszego zmęczenia, niż podczas pracy. W ten sposób ma się nieraz połowę urlopu zepsuta i dodatkowe zdenerwowanie z tego powodu.

Jeżeli jednak przed urlopem odpocząć się nie da, nie trzeba się tem przejmować. Postanówmy sobie tylko, że przez następny miesiąc lub choćby 2 tygodnie nie istnieją dla nas znajomi, wizyty i wszelkie wieczorne rozrywki miejskie, *tak jakbyśmy jeszcze byli nad morzem czy w górach*. Pozwoli nam to doskonale uzupełnić odpoczynek, bez dodatkowych kosztów, a zupełnie skutecznie, jeśli będziemy umieli wytrwać przy zakreślonym sobie rozkładzie dnia. J.P.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

RAKI GOTOWANE

Niektóre gospodynie mają zwyczaj barbarzyński wrywania żywym rakom kiszeczek z szyjki — zwyczaj nie umotywowany niczem, gdyż po ugotowaniu raka kiszeczka daje się zupełnie łatwo usunąć. Jeszcze bardziej barbarzyńskim jest nastawianie raków w zimnej wodzie. Nieszczęsne skorupiaki męczą się przez kwadrans lub nawet pół godziny, w zależności od rozmiaru naczynia i ilości wody — a wiemy wszak, że mięso zwierzęcia, męczonego przed zabiciem, jest zawsze mniej lub więcej szkodliwe. Na dwa mandle średnich raków należy zagotować w rondlu trzy litry wody, mocno ją osolić, włożyć sporą garść zielonego kopru, przekrajaną na części sporą cebulę (lub pęczek szczypioru), kawałek marchwi i pietruszkę z natką. Raki starannie

wypłókać, o ile są pokryte mulem, oczyścić je twarogą ryżową szczotką. Gdy smak się ugotuje, na wrzący wrzucić wszystkie raki razem, przykryć pokrywą — w taki sposób natychmiast, bez męczarni się uduszą. Gotować kwadrans od chwili zagotowania wody. Chcąc przechować raki przez dzień lub dwa, wynieść je wraz ze smakiem na lód. Dłużej, nawet zimą przechować się nie dadzą. Najsmaczniejsze są na gorąco, podane w rondelku niklowym lub platerowanym we własnym smaku. Oddzielnie podać chleb czarny, w cienkie kromki pokrajany, i świeże masło, uformowane w kulki i ułożone na lodzie.

KREM MALINOWY.

Świeże, leśne maliny, przetrzeć przez rzadkie sito. Ziarenka przejdą razem, lecz uformuje się jakby aromatyczna marmeladka; dodać pół szklanki cukru i dwa świeże białka; ucierać drewnianą łyżką na lodzie, aż zaczną dobrze gęstnieć, jak krem. Tymczasem ubić kwartę śmietany lub śmietanki na krem i rozpuścić w pół szklance wody osiem listków żelatyny, po połowie białej i czerwonej. Zmieszać prędko krem owocowy, krem śmietankowy i żelatynę. Przełożyć do formy, wylanej wodą i wysypanej cukrem, i wynieść na chłód na sześć godzin przynajmniej. Podając, obłożyć lekkimi biszkopcikami i podać do tego kremu sok malinowy. Kto lubi krem słodki, może wziąć więcej cukru.

BABKA Z CZARNYCH JAGÓD

Pół kilo czarnych jagód wymieszać z filiżanką cukru. Upiec niezbyt cienkie naleśniki z dwóch jaj i pełnej szklanki mąki. Naleśniki robić na wodzie: na mleku są zawsze gąbczaste. Wysmarować płaski rondel masłem i wysypać bułeczką. Naleśniki składać po połowie, napełniając każdy dużą łyżką jagód. Układać ładnie w rondlu, aby się uformowała równa babka. Gdy wszystko wyjdzie, położyć na wierzchu kilka małych kawałeczków masła i wstawić na kwadrans w dobrze gorący piec. Przed podaniem babkę wyrzucić na półmisek. Podać do niej w sosjerce kwaśną śmietaną, ubitą z cukrem i wanilią.

Pani Elżbieta

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
APTEKA A. GAŚCECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.



HEMOROIDY, CZOPKI HEMOROIDALNE „VARICOL”
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIĘCZENIE I KRWAWIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYŁAKI). — SPRZEDAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
APTEKA A. GAŚCECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”



WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,
rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 5700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Ekspedycja: ul. Górnoślaska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Rymarska 8, tel. 244-18

Nasza Mównica

Organizujmy pracę

Bardzo dużo się mówi i wzruszająco o niedoli kobiety gospodyni domu, żony, matki, pomimo jej obecnej emancypacji, pomimo podniesienia się kultury umysłu, pomimo dopuszczenia jej do pracy fachowej — *pomimo?* A czasem wygląda, że z *powodu...*

Mnie się wydaje, że sama *jaźń zła* jest gdzie indziej i chcę oto tę myśl moją, proste, konkretne spostrzeżenia, postawić przed oczy współczesniczek „Bluszczu“, bo przecież pierwszym i koniecznym warunkiem naprawy zła jest nietyle skonstatowanie jego obecności, ile wykrycie źródła.

Kobieta umysłowo wyzwoliła się jeszcze niedawno, przeto w większym może stopniu jest skłonna do umysłowego lenistwa, do pójścia w pracy swojej drogą najmniejszego oporu. Przytem w bardzo wielu zawodach pracownik jest kółkiem w skomplikowanej maszynie — ktoś inny puścił ją w ruch i nastawił, — ono, kółko ma tylko pilnie obracać się dookoła swej osi, a wszystko będzie dobrze. Kobiety, twierdzi się ogólnie, są kółkami, funkcjonującymi precyzyjnie, o konstrukcję całej maszyny nie troszcząc się, ani ją chcąc zrozumieć.

Inna sprawa, gdy w dziejowych skomplikowanych warunkach kobieta, która „ukończyła nauki“, zabiera się do prowadzenia domu, t. j. do pracy, do której nie przygotowało ją wykształcenie, do pracy, w której ma być nie kółkiem, tylko właśnie organizatorką (i wykonawczynią częściowo) dość jednak zawilej całości.

Kobieta nie ogarnia tej całości — *nie organizuje pracy swojej* i tu jest, zdaniem mojem, źródło jej domowej gehenny, jałowości tego dreptania wkółko, zatracania się w szczegółach, „spychania“ robót, które, nie dając się zepchnąć we właściwym czasie, narastają, tworzą zatory, i — niezafatwione — wiodą niekiedy do bardzo poważnych komplikacji, nietylko materialnych, ale i moralnych.

Wojenne i powojenne fluktuacje losów dały mi możność obserwowania zbliżonych tych samych osób, przetrzucanych w odmienne warunki. Stale konstatowałam jedno: te, które miały dookoła siebie ład i porządek w pałacu, przenosiły ze sobą ten ład i porządek bądź do chałupy, bądź do paru pokoików w suterenie, czy na najwyższym piętrze: było inaczej, była bieda, ale czysta i porządna, nie *nędza*, bo czystość. Ład, porządek pozwalały na zachowanie zdrowia i pewnej równowagi moralnej, rodzącej siłę i odporność. Te, które w idealnych warunkach miały w swym

domu wszystko, oprócz ładu, przy zmianie na gorsze, zaraz traciły orientację; nie przychodziło im nawet do głowy, że zawsze i wszędzie można jednak zorganizować się, odrzucić, co niekonieczne, zachować niezbędne — szły na dno! Jeżeli zbiegiem okoliczności, ktoś lub coś zdołało je wyratować, przebyte doświadczenia dawały im jedno tylko: złe nawyki do bezładu, nawet niechlujstwa, które narazie tłumaczyły się wyjątkowymi okolicznościami, a potem ustalały się i pozostawały na mocy inercji.

Takie istoty, wegetujące z dnia na dzień, bez pretensji nawet do zdania sobie sprawy z sytuacji, bez samokrytycyzmu, bez świadomych celów i dróg, nigdy i w żadnych warunkach nie mogły sobie dać rady — i one też do dziś najżałośniej uskarżają się na gmatwaninę swoich zajęć i prac, wśród których szarpia się bezradnie.

Instykt organizowania się napotykamy, jako wrodzoną zdolność, ogromnie rzadko, tak, że najpierw należy obudzić wśród kobiet zrozumienie konieczności organizowania swej pracy, a następnie nauczyć je organizować, co powinno się zacząć od najpierwszych chwil samodzielnej pracy dziecka, które, gdy przynosi zadane w szkole zajęcia, powinno otrzymać wskazówki, jak je sobie rozłożyć, jak wykonać kolejno, oszczędzając czasu i trudu, koordynując z domowym porządkiem i przestrzegając zasad higieny. Dziecko musi już wtedy ogarnąć *całość* swoich prac i wiedzieć nietylko, *co* ma zrobić, ale *jak* zrobić i *kiedy* robić. Tylko tak od dziecka wdrażając człowieka do organizowania swojej pracy, można stworzyć ludzi mądrych i owocnie pracujących na każdym stanowisku.

Weźmy choćby ten wiecznie podejmowany temat: tragedję urwanego guzika. Guziki będą się czasem urywać, dziury przecierać, ale zniknie tragedja, gdy żona i matka nie zostanie tym faktem zaskoczona nagle i niespodziewanie w chwili, gdy syn lub mąż wyjeżdża na kolej, lub wychodzi do szkoły czy biura. Kto ma zwyczaj i przestrzega pilnie obejrzenia bielizny z prania i nie odkładania na półki bielizniarki uszkodzonych przedmiotów, przed ich oddaniem do naprawy lub naprawieniem własnoręcznie, ten nie miewa scen o urwany guzik, choć ani o sekundę więcej nie poświęci przeciw czasu i wysiłku, jak przyszywając, cerując, lub rozdzierając agrafkami w krytycznym momencie. Roboty nie przybywa, ubywa raczej, przy terminowem jej rozłożeniu; organizowanie jej poleca się więc przedewszystkiem i nadewszystko tym, którzy zwykle „nie mieli czasu“.

Dla chętnych, choć dźwigających ciężar złych

nawyków — jedna praktyczna rada: nie zaczynać od wszystkiego naraz. Narzucić sobie na początek tylko jeden przymus: tego dnia o tej godzinie, to lub owo będę załatwiać. Przestrzegać zato tego nakazu pilnie, a gdy „nie uda się“ raz, drugi i dziesiąty, to spokojnie zacząć *ab ovo*. Udać się na koniec musi. Tylko proszę mnie nie posądzać, że z domowej pracy chcę uczynić kobiecie „pilę“... „piekło“ i t. p. Przecież to i teraz już jest, sądząc z tak częstych ubolewań. Przy orjentacji i organizacji, przeciwnie, ręczę, że najbardziej niebieskie niebo wyjrzy razporaz z czeluści chmur, atmosfera ogniska domowego rozjaśni się, prace, scalając się i porządkując, ustąpią nieco miejsca miłym rozrywkom, czy zajęciom dowolnym, będzie mniej wyczerpania nerwowego, mniej przepracowania, więcej spokoju i godności... wtedy ludzie nauczą się szanować domową pracę kobiety. M. B.

Pracować czy niepracować? (W odpowiedzi pani Walerji Mal-ckiej z kaliskiego)

W ostatnim czerwcowym numerze „Bluszczu“ przeczytałam odpowiedź Pani na list Częstochowianki. Ironja, zawarta w tym artykule, zmusza mnie do wypowiedzenia się.

Nie mogę operować danymi statystycznymi, ani powoływać się na dzieła naukowe, gdyż należąc od lat 10-ciu do parjasów społeczeństwa, będąc gospodynią, matką i pracownicą zawodową w jednej osobie, nie mam czasu na poważne przestudjowanie tej kwestji. Ograniczę się do przytoczenia faktów z własnego, 34-letniego życia.

Mam dwoje dzieci w wieku lat 8 i 6. Mąż mój, jako urzędnik państwowy, nie może nas utrzymać, przeto ja pracuję, jako buchalterka w firmie prywatnej. Na godzinę 8-mą muszę już być w biurze. Wstaję przeto o godzinie 6-ej, szykuję śniadanie pierwsze i drugie dla całej gromadki, ubieram dzieci i po drodze do biura odprowadzam je do szkoły (przedszkola). O godzinie 3¹/₂ spotykamy się wszyscy u siostry mojej na obiedzie. Na godzinę 5—5¹/₂ (po drodze załatwiam sprawunki) jestem z moją gromadką w mieszkaniu, posprzątanem w mojej nieobecności przez t. zw. „posługaczkę“. Wtedy mąż mój trochę czyta, a następnie zasypia. Ja zaś jestem z dziećmi, „wychowuję je“, nigdy prawie nie mogąc zająć się domem, bo albo trzeba im coś przeczytać, albo rozmawiać z niemi i t. p. Koło 7-ej godziny muszę się zająć kolacją dla mojej trójki. Wtedy też budzi się mój mąż, wypoczęty i czyta, słucha radjo i t. p. Koło 8-ej, po kolacji, muszę umyć dzieci, gdyż o 9-ej idą one spać. Wtedy mam czas swobodniejszy, mogę zająć się naprawdę domem, coś uszyć, często mam jakąś robotę z biura. Wtedy też mąż proponuje mi kino lub spacer, ja jednak pragnę już tylko spokoju, bo 15-godzinną pracą jestem tak zmęczona, że mogę tylko położyć się na kanapie (widzę oburzenie w oczach pani) i nic robić, nawet czytać mi się nie chce. Mąż też najczęściej wychodzi sam.

I proszę mi wierzyć, że ani zabawa z dziećmi,

ani zajęcie się domem nie są dla mnie przyjemnością, ale koniecznością, przechodzącą moje duże i młode jeszcze siły. Co przeszłam, nim dzieci podrosły do lat dzisiejszych, i czem było dla mnie zostawianie ich na opiece „wykwalifikowanej“ wychowawczyni — rozumieją tylko matki. Później próbowałam zostawiać dom i gospodarstwo służącej — czemu okazało się to niemożliwością, też rozumieją kobiety, które to przeszły.

Nie ma pani, postokroć nie ma pani racji, ironizując wywody Częstochowianki. List jej był dla mnie osłoda i pociechą, że ciężka dola kobiety-matki, pracującej poza domem, zostaje przez drugą kobietę wysunięta na światło dzienne i poddana dyskusji. Lecz tak, jak pani, mógłby tylko o tej doli napisać mężczyzna, nie widzący i nie rozumiejący w swym egoizmie tej szarpaniny nerwów i zdrowia, która staje się udziałem przeciętnej kobiety-matki, zmuszonej pracować poza domem.

Mam fachowe wykształcenie (jestem absolwentką Wyższej Szkoły Handlowej), na nic mi się ono jednak teraz nie przydaje, bo mimo teoretycznego przygotowania, nie mogę śledzić biegu spraw społecznych, politycznych, czy ekonomicznych. Tępieję, staję się maszyną i ostatnim wysiłkiem przeglądam wieczorem gazetę. Zamłodu marzyłam o pracy społecznej, życiu czynnem i pożytecznem dla sprawy kobiecej — dziś, po dziesięciu latach małżeństwa, macierzyństwa i pracy zawodowej, marzę o jednym tylko: aby mąż mój mógł zarobić na skromną egzystencję dzieci, a ja abym mogła rzucić biuro, zająć się domem i wychowaniem dzieci we właściwem tego słowa znaczeniu i powrócić choć w części do ludzkich warunków życia, stać się człowiekiem, móc coś czytać, widzieć lub nawet się zabawić czasem, a nie gonić tylko od jednego zajęcia do drugiego z ciągle wytężoną myślą, aby o czemś nie zapomnieć. Píše pani, że kobiety zamożne, kobiety bawiące się, bywające, zmuszone do reprezentacji — też nie siedzą ciągle w domu. O, proszę pani, to takie porównanie, że naprawdę ono właśnie nie wymaga komentarzy. Co zaś do doli robotnic, kobiet wiejskich, no, to one też pewno marzą o rzuceniu pracy zawodowej, może nie boją nad tępieniem swego umysłu, mają inne obowiązki rodzinne i towarzyskie i przypuszczam, (przyzna mi pani zapewne, po namyśle, rację) inaczej trochę, niż kobieta inteligentna, pragną wychować swoje dzieci.

Gdybym mogła, tak jak o tem mówi Częstochowianka, pracować w domu 3—4 godzin dziennie — kwestja byłaby rozwiązana, bo dom mój i gospodarstwo nie zostawałoby samo i mogłabym nawet wziąć służącą, mając ją ciągle na oku. Niestety, zbyt późno nabyłam doświadczenia. Postaram się tylko inaczej przygotować moją córkę do jej ewentualnego zamążpójścia.

I w związku z tem, co napisałam, nasuwa mi się jedno pytanie: czy nasza masowa praca kobiet-matek nie obniża płac naszych mężów i czy nie obniża płac kobiet samotnych, zmuszonych do samoistnego utrzymania się? Czy nie przyczyniamy się przez

zwiększenie podaży rąk roboczych, do coraz większej pauperyzacji inteligencji?

I jeszcze jedno pytanie: czy, biorąc na barki swoją zbyt ciężką pracę (mówię o kobietach - matkach, zmuszonych do pracy zawodowej poza domem), nie przyczyniamy się do coraz bardziej lekkomyślnego stosunku mężczyzny do jego obowiązków względem rodziny?

Nie umiem odpowiedzieć sobie na te pytania, a jednak są one dla mnie, jako dla matki, pytaniami pierwszorzędnej wagi, bo muszę właściwie pokierować memi dziećmi. I z prośbą o odpowiedź na nie, zwracam się do wszystkich Szanownych Czytelniczek „Bluszczu“ i do pani, znanej mi już, Droga Częstochowaniko, której mądre, zacne słowa, tak bardzo zgodne z życiem, dodają mi sił do pracy i do szukania dróg wyjścia z błędnego koła. *Marja S-ka.*

Z naszych gór.

Mieszkając w Bukowinie pod Zakopanem, chcę czytelniczkom „Bluszczu“ podać zalety i wady tego letniska, jeśliby chciały zeń korzystać.

Bukowina leży u podnóża Tatr (8 klm. od Poronina, 19 od Morskiego Oka), ciągnie się na przestrzeni 4—5 klm., dzięki temu, że jest zabudowana dość rzadko. Z Poronina dojeżdża się furką góralską za 8—10 zł. po szosie górskiej, a więc dość kamienistej i męczącej.

Na miejscu jest: agencja pocztowa, kościół, szkoła, dwa sklepy Kółka Rolniczego; jest czynna w szkole od 5—6-ej Komisja letniskowa, jest rzeźnik, trzy inne sklepy towarów mieszanych. Urokiem Bukowiny są góry, rysujące się tuż przed nami, górski klimat, obfitość łąk tuż obok chałup, swoboda i możliwość korzystania z lasów, grzybów i jagód; poczucie, że się jest istotnie na wsi, bliżej Boga i natury. Górale w Bukowinie są bardzo uczynni i gościnni. Nie mają w sobie chciwości górali z Zakopanego. Ilustrują to słowa Staszka Kuchty, naszego gazdy: „Jakbym za wszystko brał piniondze, tobym nie miał ich gdzie chować“. Bukowina została „odkryta“ przed kilku laty przez „Kongresowiaków“, przeważnie do dziś dnia najwięcej jest tu letników z Warszawy, Siedlec, Łodzi. Ludność zarabia na letnikach, ale nie obdziera ich ze skóry; biorąc pieniądze, uważa ich jednak za gości-przyjaciół. Dlatego zapewne Związek Spółdzielców z Warszawy ma tu swój lokal, odnajmowany corocznie u gazdy Dunajczana, a przeznaczony na kursa letnie Spółdzielców i odpoczynek dla ich rodzin. Szczęśliwie się stało, że lokal ten spółdzielcy na 7 dni odnajęli Chrześcijańskiemu Związkowi Akademików w Polsce i że ci tak bezpośrednio mogli przeżywać zagadnienie: „chrześcijaństwo wobec współczesnego życia“.

Dla letników górale pobudowali wille, pensjonaty, domy; sami podczas sezonu mieszkają w obozach i stodołach. Pokój u górala kosztuje 40—50 zł. miesięcznie, w pensjonatach całodziennie utrzymanie i mieszkanie 7—8 zł. dziennie. Na cenę kosztów

wyżywienia wpływa to, że prawie wszystkie produkty sprowadza się do sklepów z Zakopanego. Mimo to, mimo złej szosy, która się ciągle buduje, mimo niesumiennej i interesownej obsługi na poczcie, radzę przyjazd na Bukowinę wszystkim spragnionym prawdziwej wsi, Boga, natury i dobrych gazdów.

Dr. H. Spoczyńska.

Kobieta a papieros.

Nie mam pretensji powiedzenia tu czegoś nowego, tem więcej, że Pani Borudzka w Nr. 23-cim „Bluszczu“ barwnie i z prawdziwie literackim talentem maluje pierwsze kroki debiutantki z papierosem, owiane kokieteryjną naiwnością czwartoklasistki; nie mniej dobrze obrazuje nałogową palaczkę, której głód skurcza żołądek, spragnione usta wysychają, a w mózgu jedna myśl kołocze: papierosa! Utało się mniemanie, że papieros nie jest szkodliwy dla zdrowia, ale tę ocenę zostawmy lekarzom. Zastanówmy się jedynie nad stroną etyczną i praktyczną tego nałogu. Nie tak dawno, bo zaledwie przed wojną, papieros w ustach kobiety należał do wyjątków. Dziś pali około 60% kobiet, papieros stał się popularny w świecie kobiecym i stracił swą pikanterję, zresztą urojoną. Każda kobieta winna przedewszystkiem uważać na estetykę, a nie wiem, czy zażółcone zęby, zapach rąk i sukien kobiecych, przesyconych tytoniem, przyczyniają się do niej. Nie mówię już o porzuconych wszędzie ustnikach, popielniczkach i popiele w mieszkankach panien. A strona finansowa? Znam sama niejedną kobietę, notującą w swych miesięcznych wydatkach 30 zł. na papierosy! Bogata łatwo zniesie ten wydatek w swym budżecie, ale kobiety średnio zarabiające odmawiają sobie kupienia książki, biletu do teatru, a urzędniczki, mające 200 zł. na mieszkanie, życie, ubranie i wszelkie kulturalne potrzeby, idą często spać głodne, bo... palą papierosy!

Kobieto, ty, która umiesz być tak ofiarną, gdy tego żądają od ciebie wypadki dziejowe, zrozum, że nic nie tracisz, wyrzuciwszy papierosy! Ucz się brać z postępu to, co jest korzystne, zachowując zawsze i pod każdym względem kobiecość i jej własną etykę. Chciejmy uwierzyć, że najwięcej powabu ma prawdziwa kobiecość. Brak papierosa nie przeszkodzi nam być lekarką, dobrą urzędniczką, nawet adwokatem! Matce zaś podnieta papierosa zupełnie już niepotrzebna. Pewnego dnia odwiedziłam młodą matkę; zastałam ją ze swym pierworodnym na ręku, ale i z papierosem w ustach. Ach, jakżeż piękny obraz matki stracił w tej chwili na uroku! Słyszałam od pań na zebraniach stowarzyszeń, że papieros wkradł się już do naszej służby. I nic dziwnego: widząc palącą panią, pali i służąca.

Wyrzućmy więc papierosy z naszego życia, pamiętajmy, że służymy jako przykład dla naszych dzieci, służby, wogóle przyszłej kobiety. Dajmy jej coś, na co się możemy zdobyć najlepszego, a nie dym z papierosa.

Róża Machówna—Poznań.